Poeta, którego przykryła legenda

Rozmowa z dr Bogumiłą Żongołłowicz, pisarką, dziennikarką, dokumentalistką o jej najnowszej książce „Zbigniew Jasiński. Biografia nieznana” i jej bohaterze.

*



Dr Bogumiła Żongołłowicz, fot. Krzysztof Jabłonowski

Są nazwiska, które pamiętamy. I są takie, które pamiętamy tylko w jednym zdaniu. „Tu zęby mamy wilcze, a czapki na bakier…” – wers z wiersza „Żądamy amunicji” – zna wielu. Przeszedł do historii jako głos walczącej Warszawy, nadany z powstańczej „Błyskawicy”, powtórzony przez BBC, przetłumaczony na wiele języków. Stał się symbolem heroizmu, desperacji i wiary. A jego autor? Zbigniew Jasiński został zapamiętany jako „poeta Powstania Warszawskiego”. Tytuł zaszczytny, ale też niebezpieczny. Symbol bywa ciężki. Potrafi przykryć człowieka. Za sprawą jednego wiersza zniknął prekursor polskiej marynistyki. Zniknął pisarz międzywojnia. Zniknął emigrant w

Australii, który nie widział dla siebie miejsca w komunistycznej Polsce. Zniknął człowiek, który w dramatycznym liście pisał o bankructwie nie w tonie finansowej klęski, lecz egzystencjalnej straty – bo tracił swoje książki, „niezbędne do życia”. Bogumiła Żongołłowicz przez dwadzieścia lat zdejmowała z Jasińskiego warstwę symbolu. Od Słupska – miasta jej młodości – po Griffith, Bermagui i Bundaberg w Australii. Szukała archiwów, kopiowała dokumenty, docierała do ludzi, którzy jeszcze pamiętali. Ratowała materiały przed zapomnieniem – dosłownie przed wodą, która mogła je zniszczyć. Jej książka „Zbigniew Jasiński. Biografia nieznana” nie burzy legendy. Ona ją pogłębia. Pokazuje, że za wierszem nadanym spod bomb stał człowiek z krwi i kości – ambitny, uparty, czasem omylny, wierny swoim wyborom. Bo, żeby naprawdę kogoś uhonorować, trzeba najpierw go odkryć. *Redakcja*

Joanna Sokołowska-Gwizdka *(Austin, Teksas)*:

Pani najnowsza książka powstawała dwadzieścia lat. Co było impulsem, który sprawił, że postanowiła Pani zająć się postacią Zbigniewa Jasińskiego?

Bogumiła Żongołłowicz *(Melbourne, Australia*):

To nie impuls, a stała „obecność” Jasińskiego w moim życiu. Jako

autor najpopularniejszego wiersza Powstania Warszawskiego„Żądamy amunicji”, był dla mnie postacią intrygującą od najmłodszych lat. Deklamowałam ten wiersz podczas akademii w Szkole Podstawowej nr 7 w Słupsku. Byłam wtedy w siódmej lub ósmej klasie. Los rzucił nas oboje – w dużym odstępie czasu – na kontynent australijski. Jasiński musiał zostać bohaterem jednej z moich biograficznych książek. Jest mi najbliższy ze wszystkich osób, nad dorobkiem których pochylałam się w swojej dotychczasowej twórczej pracy. Odnowiłam jego grób. Wystąpiłam z wnioskiem – pozytywnie zaopiniowanym do Instytutu Pamięci Narodowej o uznanie Jasińskiego za weterana walk o wolność i niepodległość Polski.

Również dzięki moim zabiegom **–** po zakończeniu programu funkcjonalno-użytkowego w nowej strefie Słupska, między ulicami Grunwaldzką a Aleją 3-go Maja **–** jedna z ulic zostanie nazwana imieniem Zbigniewa Jasińskiego.

Zatytułowała Pani książkę „Zbigniew Jasiński. Biografia nieznana”. Dlaczego uznała Pani, że dotychczasowe publikacje były niewystarczające?



Dotychczasowe publikacje – poczynając od daty debiutu Jasińskiego – zawierają błędne informacje. Słowniki podają, że debiutował opowiadaniem „Sztorm” w „Kurierze Literacko-Naukowym” – dodatku do krakowskiego „Ilustrowanego Kuryera Codziennego” w 1929 roku. Tymczasem debiutował dwa lata wcześniej pod pseudonimem Zbigniew Rawicz w dwutygodniku literacko-artystycznym „Tętno” – organie Towarzystwa Młodych Zwolenników Literatury i Sztuki w Poznaniu. Pismo redagowało prezydium TMZLiS, w którym zasiadali: Emil Zegadłowicz, Jan Antoni Szalla, ksiądz rektor Nikodem Cieszyński, malarz-portrecista Józef Kidoń i jego żona rzeźbiarka Teofila Kopanicka. Pierwszy numer „Tętna”, poświęcony głównie celom i zadaniom organizacji, ukazał się 1 października 1927 roku. Już w drugim numerze (15 października) zamieszczono wiersz *Zła baśń*

Rawicza, który należy uznać za literacki debiut dziewiętnastoletniego Jasińskiego, jeśli przyjąć, że „debiut literacki” zazwyczaj odnosi się do pierwszej oficjalnej publikacji dzieła autora, niezależnie od formy (wiersz, opowiadanie, powieść, itp.).

Dotychczasowe publikacje mówią niewiele o małżeństwie z Wandą Karczewską, która z sobie tylko znanych powodów pisała do Lesława Bartelskiego w liście datowanym 7 sierpnia 1986 roku: „O jedno Pana stanowczo proszę i nawet zobowiązuję do tego, aby Pan (…) nie łączył mojej osoby z tamtym człowiekiem”, podczas gdy Jasiński wiele lat wcześniej występował w obronie jej dobrego imienia. Uczynił to 23 maja 1963 roku w piśmie do Mieczysława Grydzewskiego, redaktora londyńskich „Wiadomości”, gdy ten opublikował fragment książki Ryszarda Kiersnowskiego „Młodość sercem pisana”. Ukazał się na pierwszej stronie pisma pod tytułem *Cardiac Call*. Dla mnie jest to „obrazek miłosny”. Kiersnowski „wszedł z butami” w życie przyjaciół, uznając, że wolno mu, ponieważ był świadkiem na ich ślubie. Wzburzony redaktorską decyzją „ogłoszenia tego świństwa drukiem” poeta na wiele lat przerwał współpracę z „Wiadomościami”.

Kontynuując wątek uczuciowy, muszę odnieść się jeszcze do książki „Miłość’ 44: 44 prawdziwe historie powstańczej miłości” autorstwa Agnieszki Cybuły, reklamowanej jako „wzruszające,

dramatyczne, niezwykłe opowieści o gorących porywach serca, seksie, który w najstraszniejszych chwilach stawał się namiastką bliskości, a czasem ostatnią przyjemnością w życiu, i o miłości dojrzałej, która przetrwa wszystko". Mój bohater w grobie się przewraca. Autorka nie znalazła żadnych dowodów na to, że łączyło go z jego bratową Stanisławą coś więcej niż przyjaźń. Tadeusz Jasiński, pracownik Urzędu Skarbowego w Siemianowicach na Górnym Śląsku, otrzymał polecenie nawiązania kontaktu z ogniwami konspiracji za Bugiem. Aresztowany najprawdopodobniej przez sowieckich pograniczników w grudniu 1939 roku w Zarębach Kościelnych, w powiecie Ostrów Mazowiecka, został przewieziony do więzienia w Brześciu i ślad po nim zaginął. Zbigniew poznał bratową dopiero, gdy przyjechała do Warszawy w drugim roku wojny. On, impulsywny „kresowiak", jak o sobie mówił, długo nie mógł się przyzwyczaić do dziewczyny ze Śląska. Zbliżyły ich beztroskie wycieczki nad Wisłę. I… uliczne łapanki – codzienność okupowanej przez Niemców stolicy. Na emigracji wspominał:

Była z nas dość dziwna para przyjaciół: źle domyślni przechodnie uśmiechali się na widok przystojnej i postawnej dziewczyny, przerastającej towarzysza o pół głowy. Kiedyś unikałem wychodzenia z nią do miasta, jej wzrost mnie krępował: czułem się jakiś mniejszy. Z czasem jednak jakoś zapomniałem o tym: przestałem dostrzegać to, jak i wiele innych cech Stachy. Myślę, że nawzajem z nią było tak samo. Przyjaźń nasza polegała przede

wszystkim na możliwości spowiadania się przed nią z moich wybryków, z których umiała mnie delikatnie, a niepostrzeżenie, krok po kroku wyprowadzać na drogę właściwszą – i na jej przyzwyczajeniu się do moich zwierzeń, do troszczenia się o mnie, i do mnie w ogóle. Z czasem staliśmy się sobie niemal nieodzowni.

Tadeusz Jasiński dopiero po wojnie uznany został za zmarłego. „Podciągać" przyjaźń z owdowiałą-nieowdowiałą bratową pod miłość to nadużycie. Do tego garściami – z braku dostępu do innych źródeł – brać z opowiadania Jasińskiego „Stachę". To zakrawa na plagiat.

POWSTANIE WARSZAWSKIE

W ILUSTRACJI



W XIII rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego cały Naród złoży hołd powstańcom, tym z Armii Krajowej i tym z Armii Ludowej, i tym, którzy nie należąc do żadnej organizacji oddali swe życie w walce z okupantem hitlerowskim. W dniu tym wszyscy czcić będą pamięć bohaterskich żołnierzy 1 Armii, którzy polegli na Przyczółku Czerniakowskim.

WYDANIE SPECJALNE
STOLICA
WARSZAWSKI TYGODNIK ILUSTROWANY

WARSZAWA, 1 SIERPNIA 1957 R.
CENA ZŁ. 10



Na pozycji w narożnym domu u zbiegu Moniuszki i Marszałkowskiej. Przez lornetkę widać stąd pozycje niemieckie w Ogrodzie Saskim.

Fot. Eugeniusz Lokajski



Zbigniew Jasiński („Rudy")

ODMAWIAMY

Zapełniajcie, zapełniajcie nami Muzea,
Na nic zda się podstęp i nikczemność!
Niechby cała Stolica spłonęła
Ta ofiara nie będzie daremna.
Nas pragniecie nastraszyć nalotem?...
Nas, przerazić hukiem bomb wśród głowni?
Uwięzieni, legniemy pokotem,
Robotnicy Warszawskiej Gazowni!
— Tak... żyć — chcemy. Nie chcemy umierać!
Boże!... Ujrzeć jeszcze — Ojczyznę swobodną!
Zginąć — teraz?... Zginąć właśnie teraz?...
— Boże! Pozwól zachować nam godność!
Przetrwać dumnie jeszcze te męczarnie.
Niech nas pędzą na czołgi pancerne!
Niech zwycięski szał braci ogarnie.
Kiedy serca przestrzelą nam wierne!
— Pogardzamy waszym ultimatum,
Nie nas łudzić pokusą służalczą.
Odmawiamy! Żadnych delegatów!
Oddziały nasze niech walczą!

W początku sierpnia Niemcy spędzili do poddziemi Muzeum Narodowego kilka tysięcy ludzi wyciągniętych z domów na Nowym Świecie, z Gazowni na Ludnej i okolicy. Zażądali następnie wybrania delegatów, którzy udaliby się do Dowództwa Armii Krajowej z wezwaniem do przerwania działań powstańczych, grożąc wszystkim śmiercią w razie odmowy. Spośród tysięcy zakładników nie znalazł się nikt, kto byłby gotów spełnić tę rolę.

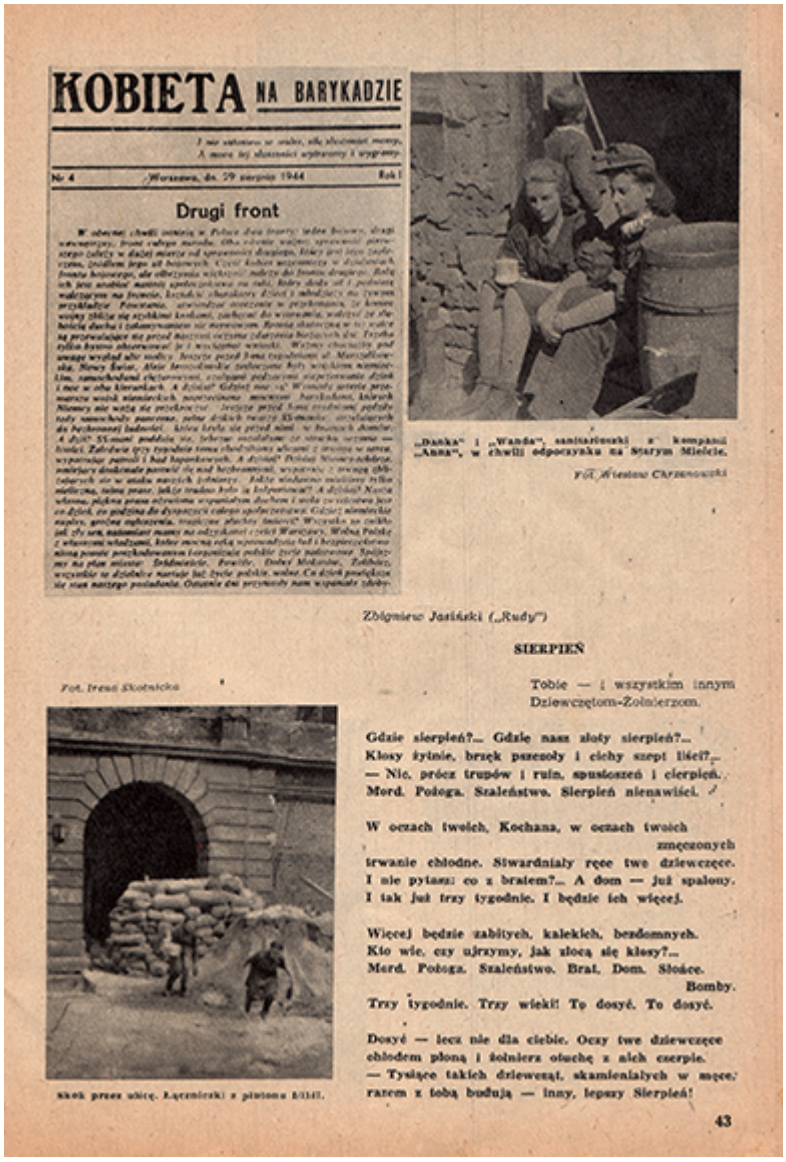

KOBIETA NA BARYKADZIE

Nr 4 Warszawa, dn. 29 sierpnia 1944 Rok I

Drugi front

„Danka" i „Wanda", sanitariuszki z kompanii „Anna", w chwili odpoczynku na Starym Mieście.

Fot. Wiesław Chrzanowski

Zbigniew Jasiński („Rudy")

SIERPIEŃ

Tobie — i wszystkim innym
Dziewczętom-Żołnierzom.

Gdzie sierpień?... Gdzie nasz złoty sierpień?...
Kłosy żytnie, brzęk pszczoły i cichy szept liści?...
— Nic, prócz trupów i ruin, spustoszeń i cierpień.
Mord. Pożoga. Szaleństwo. Sierpień nienawiści.

W oczach twoich, Kochana, w oczach twoich
zmęczonych
trwanie chłodne. Stwardniały ręce twe dziewczęce.
I nie pytasz: co z bratem?... A dom — już spalony.
I tak już trzy tygodnie. I będzie ich więcej.

Więcej będzie zabitych, kalekich, bezdomnych.
Kto wie, czy ujrzymy, jak złocą się kłosy?...
Mord. Pożoga. Szaleństwo. Brat. Dom. Słońce.
Bomby.
Trzy tygodnie. Trzy wieki! To dosyć. To dosyć.

Dosyć — lecz nie dla ciebie. Oczy twe dziewczęce
chłodem płoną i żołnierz otuchę z nich czerpie.
— Tysiące takich dziewcząt, skamieniałych w męce,
razem z tobą budują — inny, lepszy Sierpień!

Fot. Irena Skotnicka

Skok przez ulicę. Łączniczki z plutonu 1/1141.

43

Fot. arch. autorki

*

Jakie archiwalia lub dokumenty były dla Pani największym odkryciem?

„Pre-oryginał", w którym autor wyjawia, że utwór „Żądamy amunicji" miał być natychmiast po jego napisaniu nadany przez „Błyskawicę". Nadano go jednak go dopiero po kilku dniach – 24

sierpnia 1944 roku – „nie bez przetargów na wyższym szczeblu autorytetów AK. (…) Uległ pewnej cenzurze, nie chciano bowiem obrażać uczuć Polaków w Londynie". Pierwszą linijkę trzeciej zwrotki „Wyjcie, żałobne wyjce, zawodźcie – tam w Londynie" zamieniono na ostrożne, wyważone: „Czemu żałobny chorał śpiewacie tam w Londynie".

Znamy Jasińskiego jako „poetę Powstania Warszawskiego". Co tracimy, gdy sprowadzamy twórcę do jednego historycznego momentu?

Erudycję, która w przypadku Jasińskiego robi ogromne wrażenie na odbiorcy jego prac. Obeznanie w literaturze, historii, filozofii, sztuce i astronomii jest tu oczywiste. Jednakże, żeby dojść do tego przekonania, trzeba poznać całą jego twórczość, zwłaszcza publicystykę.

Wiersz „Żądamy amunicji" żyje własnym życiem. Czy według Pani ocalił Jasińskiego od zapomnienia – czy raczej go zasłonił?

Z całą pewnością ocalił. Więcej. Zapewnił mu miejsce w narodowym panteonie.

Rejsy, Bałtyk, marynistyczne metafory. Czy w przedpowstańczej twórczości Jasińskiego dostrzega Pani

zapowiedź późniejszego tonu – odwagi, ryzyka, dążenia do wolności?

Tak. Morze jest dla wielu wyzwaniem i symbolem wolności. Dla niego było pełne nadziei i dramatu. Odbywając służbę czynną w marynarce wojennej, uległ wypadkowi. Poślizgnęła mu się noga na lince na maszcie podczas porannych ćwiczeń. Spadł z kilkunastu metrów na pokład, miażdżąc prawy staw łokciowy. Po nieudanej operacji został – z kategorią D – zwolniony do cywila. Marynarski okres w jego życiu zaowocował dwoma zbiorami wierszy „Rejs do Rygi" (1931) i „Papierowym okrętem" (1936) oraz „grubą, wytworną księgą", jak ją określił Antoni Bogusławski, zatytułowaną „Morze w poezji polskiej. Antologja poezyj marynistycznych" (1937).

*

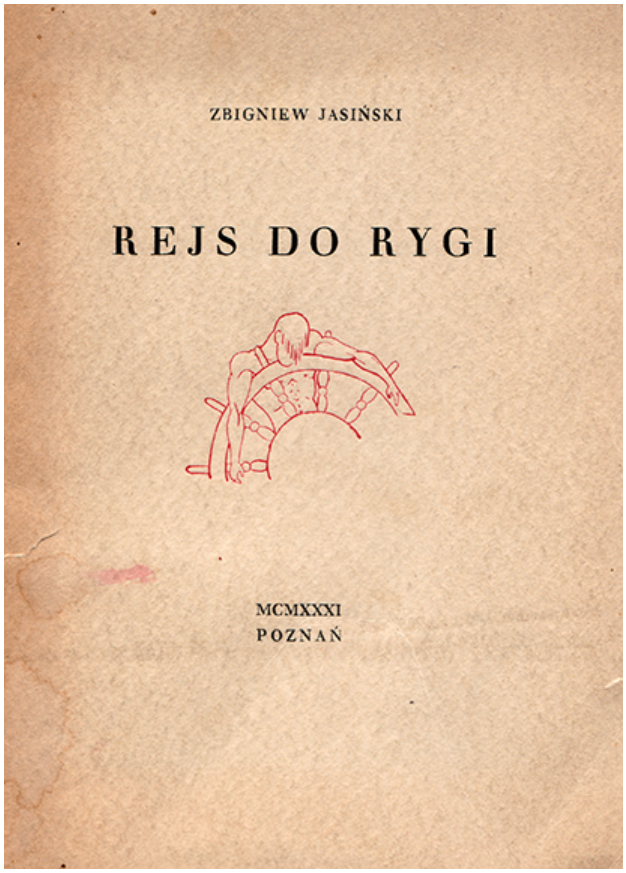

Po morzach się tłukę, po dalekich morzach,

gdzie tęsknota mną miota jak fala okrętem.

Widzę lądy nieznane skroś pienne bezdroża,

widzę lądy radosne, słońcem uśmiechnięte –

*

Chociaż wabią do siebie słodką obietnicą,

płynę dalej, szalony! – gubiąc pragnień wątek,

– i na zawsze zostanie dla mnie tajemnicą,

że się nigdy nie mogę zrównać z horyzontem – –

*

Tylko Żeglarz Najmędrszy, Wszechświata Kapitan,

co żegluje w zbiedzonych serc ludzkich głębinie,

wie najlepiej, najpewniej (w gwiazdach o tym czyta),

kiedy wreszcie osiągnę horyzontu linię – – –

*

Jak doświadczenie emigracji wpłynęło na twórczość i poczucie tożsamości poety?

Negatywnie. Był osamotniony z wyboru. Nie akceptował wielu poczynań elit emigracyjnych.

W liście o upadłości Jasiński pisze o utracie książek jako tragedii niemal egzystencjalnej.

Książki odgrywały w jego życiu wielką rolę. Tak w kraju, jak na

emigracji. Zapełniały ściany jego pokoju w przedwojennej Warszawie. Powojenny księgozbiór zaczął budować w Londynie. Stanowił część mienia przesiedleńczego do Australii.

Mówiąc o upadłości warto nadmienić, że w tym samym czasie otrzymał list z Australijskiego Czerwonego Krzyża w sprawie rodzinnego majątku. Ten rodzinny majątek to kamienica położona w Poznaniu przy ulicy Madalińskiego 8. Jak wynika z zapisów księgi wieczystej budynku, Jasiński jest do dziś współwłaścicielem tej nieruchomości.



Fot. arch. autorki



Dom Jasińskich w Griffith (2025), fot. B. Żongołłowicz

Co Pani czuła, gdy weszła do domu w Griffith?

Ogromne wzruszenie. Widziałam ten dom na zdjęciach z 1955 r., czyli z okresu budowy, ale z latami zmienił numerację. Gdyby nie Clive Polkinghorne, wieloletni prezes Towarzystwa Genealogicznego i Historycznego w Griffith nie trafiłabym do niego. Obeszłam wszystkie na swój sposób znajome kąty dzięki uprzejmości lokatora, który wpuścił mnie do środka i pozwolił porobić zdjęcia. Jasiński zaprojektował ten dom, wylał pod niego fundamenty i postawił wokół działki – „robota nie lada” – drewniany płot o długości ponad stu metrów. Oczami wyobraźni zobaczyłam w salonie, którego francuskie drzwi wychodziły na ogród, kominek, a w gabinecie poety półki z angielską encyklopedię i rocznikami paryskiej „Kultury”.

Jak bardzo ta książka jest także Pani osobistą podróżą – od

Słupska do Melbourne?

W Słupsku, w którym się urodziłam i dojrzewałam, w odległości około stu metrów od mojego domu, stanął po wojnie – i stoi do dziś – na skwerze przy ulicy Szarych Szeregów pierwszy w Polsce pomnik ku czci powstańców warszawskich. To miejsce kształtowało moją tożsamość. Podążenie śladami autora „Żądamy amunicji" było tylko kwestią czasu. To, że oboje osiedliliśmy się na antypodach, tylko utwierdziło mnie w przekonaniu, że powinnam napisać jego biografię. Był osobowością powojennej Polonii australijskiej, którą badam od początku mojej emigracji.

Dlaczego Jasiński – mimo symbolicznej roli – został zapomniany w Polsce?

Zamieszkał po wojnie piętnaście tysięcy kilometrów od kraju. Stał się mniej widzialny, mniej słyszalny.

Gdzie okiem zatoczyć – drzemiący, bezchmurny czyściec. Senne piekło ze mną pośrodku. Ugór rudy i czarny, rozziany, spopielały od ognia, co niedawno szalał po suchym, słomianym stepie. Tu i tam upalny karłokrzew mimozy. Tu i tam, butelka po piwie, puszka od konserw. Tu i tam, na dnie wyschłego, słonego bagniska, trup owcy zdechłej z pragnienia. I ja, pośrodku. A dalej – żółty, letargiczny horyzont. A za nim, wielotysięczna

przestrzeń. Sennie spoglądam na wschód: tam oto miasto najbliższe, dalekie Sydney. I na południe: Melbourne, pół dnia samolotem. Na północ: straszliwe bezludzie: Queensland. Na zachód: Wielka Pustynia Australijska. A za nią, pustynia oceanów. A za pustyniami – Polska.

Gdyby mogła Pani zadać jedno pytanie samemu Zbigniewowi Jasińskiemu – o co by Pani zapytała?

Dlaczego nie zabezpieczył oryginału „Pieśni o Powstaniu”. Nie tracę nadziei, że ten „poemat barykad”, jak go określił Tadeusz Żenczykowski „Kania”, odnajdzie się i trafi do skarbca narodowych pamiątek.

Do jakiego czytelnika skierowana jest ta książka?

Przede wszystkim do tego, któremu historia największego – tragicznego – zrywu we współczesnej historii Polski, jakim było Powstanie Warszawskie, jest bliska. Pierwotny tytuł książki, który pojawia się w artykułach i wywiadach ze mną, brzmiał „Gdzież moja ojczyzna… Życie i twórczość Zbigniewa Jasińskiego”. Emigracyjny dylemat. Jasińskiego i mój. Uznałam, że „Biografia nieznana” bardziej przemawia do odbiorców.

Link do książki:

https://www.bogumilazongollowicz.com/index.php?view=article&id=67&catid=9

Zobacz też:

> Powrót z niepamięci

Powstańcze echo

Joanna Sokołowska-Gwizdka *(Austin, Teksas)*

W 1944 r. wybuchło Powstanie Warszawskie. Lotnik Zbigniew Pawlak przylatywał nad Warszawę, ale zamiast bomb z jego samolotu zrzucano leki, środki opatrunkowe, żywność i to co było potrzebne dla Powstańców. Do takich misji też wykorzystywano ciężkie bombowce.



Zbigniew Pawlak, Kolonia, 1946 r.

Zbigniew Pawlak był mężem mojej ciotki Wandy. Pamiętam go jak przez mgłę. Był wysoki, szczupły, miał ciemne włosy i brał mnie na kolana. Wiedziałam, że był dentystą. W Łodzi, przy ul. Zmiennej miał swój gabinet. W tym samym bloku mieszkała ciotka Wanda. My z rodzicami i bratem mieszkaliśmy nieopodal, na tym samym osiedlu.

Po ślubie z ciotką przenieśli się do Wrocławia. Kilka razy nas potem odwiedzali, byli między innymi na komunii mojego brata. Więcej nie pamiętam. No może jeszcze, że pachniał tytoniem. Pewnie dlatego, że palił fajkę.

Dopiero po jego śmierci w 2003 roku dowiedziałam się, że

podczas wojny był lotnikiem w dywizjonie 304 Polskich Sił Powietrznych w Wielkiej Brytanii (ang. *No.304 Polish Bomber Squadron*). Dywizjon ten nie tylko bombardował niemieckie miasta, ale przeznaczono go też do zwalczania okrętów podwodnych. Uformowany został w 1940 r. w bazie RAF w Bramcote i w tym samym roku wszedł w skład 1. Grupy Dowództwa Lotnictwa Bombowego (RAF Bomber Command). Składał się z 24 polskich sześcioosobowych załóg oraz 180-ciu osób obsługi naziemnej.

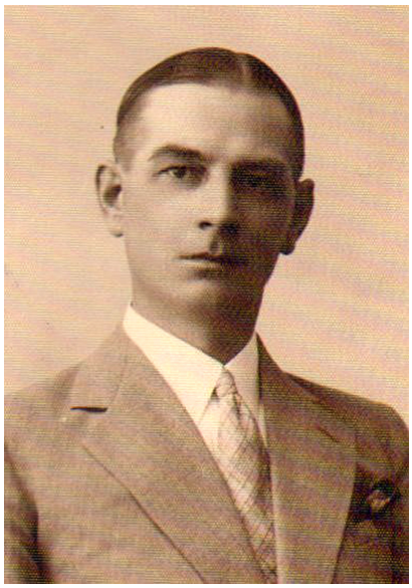

Konstanty Pawlak, ojciec Zbigniewa, fot. arch. M. Natusiewicza

Dziadkowie Zbigniewa Pawlaka pochodzili z Mazowsza. Rodzice Krystyna i Konstanty wyjechali na studia medyczne do Petersburga. Tam też po studiach podjęli pracę. W 1918 roku w Petersburgu urodził się ich syn, Zbigniew. Gdy po latach zaborów Polska odzyskała niepodległość, w 1919 r. zostawili budowane dotychczas życie i zdecydowali się na powrót do

Polski. Zamieszkali w Żychlinie koło Kutna, w województwie łódzkim. – *Zbyszek wzrastał w atmosferze polskiego domu* – wspomina jego kuzynka Alicja Pałysińska-Natusiewicz – *w kulcie tradycji narodowej, a także w oddziaływaniu szczególnego uroku Mazowsza. Był zafascynowany polską florą i fauną, oswajał drobne stworzenia – kawka spacerowała przy nim po domowym ogrodzie*.

II wojna światowa przerwała do sielskie życie w wolnej Polsce. W 1940 r. na terenie obecnej zachodniej Ukrainy Zbigniew Pawlak został aresztowany przez NKWD i za „przestępstwa popełnione wobec najeźdźcy", otrzymywał kolejne wyroki. Zaprowadziły go one na Syberię w okolice Archangielska. Musiał tam stoczyć ciężką walkę o życie, walkę z głodem i mrozem. – *Na Syberii miejsce pobytu nocą, a także częściowo podczas dnia, było pod powierzchnią ziemi* – wspomina kuzynka Alicja. I nie wiadomo, jakby się potoczyły jego losy, gdyby nie przypadek. Z opowiadania ciotki Wandy wiem, że gdy był już na skraju wyczerpania, bardzo chory przychodził do niego lekarz ze szpitala. Po dokumentach zorientował się, że zna jego rodziców. Opowiedział, że studiował z Krystyną i Konstantym, że się z nimi przyjaźnił, odwiedzał ich w domu w Petersburgu. Pamięta też ich syna Zbyszka, kiedy się urodził. Może dlatego lekarz ten wystawił na jego nazwisko dokument zgonu i pomógł mu uciec z tej „nieludzkiej ziemi", wywożąc go jako zmarłego.

*



Zbigniew Pawlak (z lewej), fot. arch. M. Natusiewicza

Po ucieczce z syberyjskiego łagru Zbigniew Pawlak dołączył do Armii Andersa. Przechodząc szlak bojowy wraz z generałem dotarł do Wielkiej Brytanii. Tam zaciągnął się do Polskich Sił Powietrznych i zaczął walczyć. – *„To były dni pełne grozy” – tak wspominał Zbyszek wieczorne posiłki w kantynie, po których wyczytywano nazwiska pilotów, mających wkrótce dosiąść swoje ciężkie bombowce i prowadzić je na ostry bój* – mówi kuzynka Alicja.

W 1944 r. wybuchło Powstanie Warszawskie. Kuzynka Alicja dołączyła do walczących. Była łączniczką Armii Krajowej. Lotnik Zbigniew Pawlak przylatywał nad Warszawę, ale z jego samolotu zamiast bomb zrzucano leki, środki opatrunkowe, żywność i to co było potrzebne dla Powstańców. Alicja kontaktowała się z

kuzynem i koordynowała pomoc. Do takich misji też wykorzystywano ciężkie bombowce.



Krystyna i Konstanty Pawlakowie, Żychlin, 1946 r.



Pawlakowie (rodzice Zbigniewa) oraz Pałysińscy (rodzice Alicji) podczas Wigilii, fot. arch. M. Natusiewicza

Po zakończeniu wojny jeszcze przez jakiś czas Zbigniew Pawlak

pozostawał za granicą. Zdecydował się jednak wrócić do Polski. Przyjechał do Żychlina, do stęsknionych rodziców, którzy nalegali na jego powrót. Z Intentetowej bazy danych na temat urodzin i zgonów wynika, że Krystyna i Konstanty w 1922 roku stracili syna, Przemysława. Może dlatego wszelkie nadzieje pokładali w Zbigniewie.

Po powrocie Zbigniew Pawlak poszedł w ślady rodziców i ukończył studia medyczne. Przez ostatnie 30 lat życia mieszkał we Wrocławiu. Ciotka Wanda opowiadała, że cierpiał na przewlekłe bóle głowy. Twierdziła, że przeżycia wojenne, mimo upływu czasu, wciąż w nim tkwiły.

*



K. Pawlak, Pacyna koło Żychlina, 1946 r.



Z. Pawlak i A. Pałysińska, Żychlin, 1947 r.



Z. Pawlak Holandia, 1945 r.

*

Miał też zdolności artystyczne. Jego pasją było dokumentowanie drewnianej architektury sakralnej. Tworzył miniatury polskich kościołów z różnych rejonów kraju. Znalazły się one w Muzeum Archidiecezji Wrocławskiej.

Został pochowany w rodzinnym Żychlinie.

Mężem kuzynki Alicji (zm. 2019) został wybitny architekt-urbanista, zasłużony dla Wrocławi, prof. Ryszard Natusiewicz. Obecnie w tym mieście mieszka ich syn, również wybitny architekt, Marek Natusiewicz.

*

*



Wanda Pawlak, fot. arch. Leszka Cecota

Źródła:

– Informacje uzyskane od Wandy Pawlak, żony Zbigniewa Pawlaka.

– Mowa pożegnalna dla Zbigniewa Pawlaka napisana przez Alicję Natusiewicz.

– Wikipedia.

– Fotografie dzięki uprzejmości Marka Natusiewicza
(https://natusiewicz.pl/)

*

P.S. Po publikacji artykułu, otrzymałam wiadomość od pana Henryka Olszewskiego, który prowadzi stronę poświęconą historii miasta Żychlina, że zaopiekowano się grobem Zbigniewa Pawlaka, pochowanego na cmentarzu w Żychlinie w 2003 r. Grób nie był odwiedzany, gdyż nie ma już członków rodziny, którzy by o niego zadbali, a po 20 latach mógłby być zlikwidowany. Pan Henryk Olszewski poinformował mnie również m.in. o książce Heleny Bodek „Jak tropione zwierzęta". Autorka urodziła się w Żychlinie i jak wspomina, Zbigniew Pawlak był jej sympatią w czasach szkolnych. Podczas II wojny trafiła do getta. Gdy złamał jej się ząb i trzeba było usunąć korzeń, została zaprowadzona do matki Zbigniewa Pawlaka – dentystki. „Pawlakowa przyjmuje mnie bardzo serdecznie – pisze autorka – nie chce nawet słyszeć o zapłacie. W melancholijnym nastroju wracam do getta. Czuję się jak więzień, któremu na krótki moment dane było zetknąć się ze światem zewnętrznym".

Pan Henryk Olszewski, zainspirowany historią lotnika z Żychlina postarał się o teczkę z dokumentami Zbigniewa Pawlaka z

czasów II wojny z Anglii i dzięki kopii, którą od niego otrzymałam mam teraz większą wiedzę na temat bohatera mojego artykułu.

Poza tym, jak się niedawno okazało, Zbigniew Pawlak był ojcem chrzestnym Henryka Olszewskiego.

Ta historia jest dowodem na to, że artykuły już po ich napisaniu, dostają drugie życie.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

*

Zobacz też:

> Ostatni lotnik

> Muzeum im. Bolesława Orlińskiego w Kanadzie.

> Janusz Żurakowski. Zapiski z łąki.

Wierzę w ciężką pracę

Rozmowa z Philippe Tłokińskim, odtwórcą roli Jan Nowaka-Jeziorańskiego w filmie „Kurier”.



Philippe Tłokiński, fot. Agencja „Studio Gama”.

Bożena U. Zaremba:

„Kurier” traktuje o jednym z najbardziej tragicznych wydarzeń polskiej historii, Powstaniu Warszawskim, ale film nie do końca jest na serio – to trochę połączenie Jamesa Bonda i Indiana Jones’a.

Philippe Tłokiński:

Pierwszy raz spotkałem się z porównaniem do Indiana Jones'a [*śmiech*]. Jeżeli chodzi o temat poruszony w filmie, to rzeczywiście dotyka on ważnych wydarzeń z historii Polski. Z drugiej strony „Kurier" nie opowiada o Powstaniu Warszawskim. Traktuje raczej o jego kulisach. Znamy zakończenie tej historii, ale zawsze pozostanie pytanie, czy decyzja o podjęciu powstania była słuszna. Mimo powagi tematu, twórcy chcieli zrobić kino atrakcyjne.

Jak doszło do tego, że zagrał Pan w tym filmie?

Zostałem zaproszony na casting, który miał kilka etapów. Konkurencja była duża. W końcu dostałem propozycję. Lubię swój zawód i długo nie odmawiałem ról, również w kinie studyjnym, artystycznym. Liczyło się zdobywanie doświadczenia. Dzięki temu trafiłem na plan „Nocy Walpurgii" Marcina Bortkiewicza – bardzo ważnej produkcji w mojej karierze. Na początku pracowaliśmy właściwe za darmo, zależało nam na tym projekcie. Dopiero potem dostaliśmy dofinansowanie. „Kurier" to była wspaniała rola i to pod okiem mistrza kina polskiego.

Co Pana pociągało w postaci głównego bohatera?

Przed rozpoczęciem filmu mało znałem Jana Nowaka-

Jeziorańskiego, zresztą podejrzewam, jak większość Polaków. Na castingu musiałem przygotować długie monologi, w tym ten wypowiadany w komendzie głównej AK. Nie były one wcale łatwe do zagrania, ale ten materiał bardzo mi się spodobał. Kiedy wiedziałem już, że zagram w „Kurierze", zgromadziłem mnóstwo książek dotyczących nie tylko samego Nowaka-Jeziorańskiego, ale i czasów, w których żył.

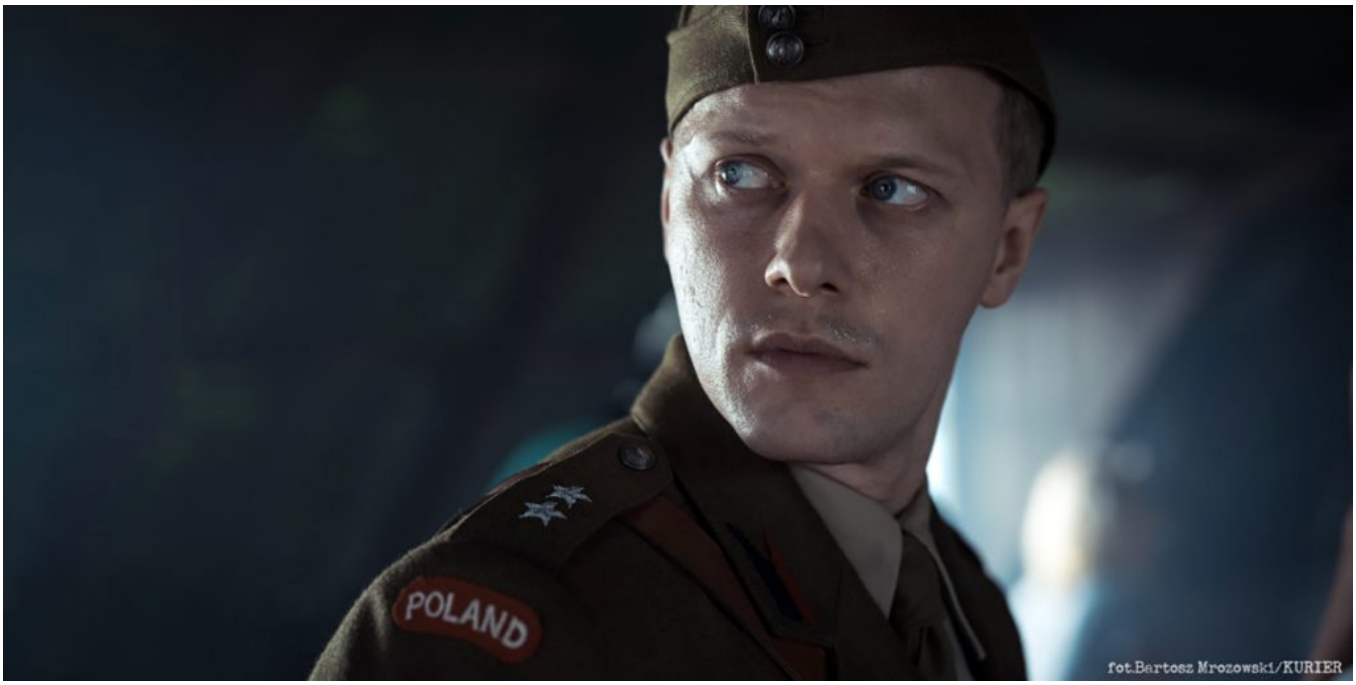

Kadr z filmu „Kurier", fot. Bartosz Mrozowski.

Urodził się Pan we Francji. Na ile, więc znana była Panu historia i kultura Polski?

Rodzice są Polakami, w domu rozmawialiśmy po polsku. Podczas, gdy wszyscy moi znajomi jeździli na wakacje do Włoch, my spędzaliśmy je w Polsce. W Genewie, gdzie mieszkaliśmy, jest

duża społeczność polska, istnieje polski kościół, wokół którego ludzie się gromadzą. Styczność z kazaniem podczas mszy, spotkania z Polakami, umożliwiły mi kontakt z tradycją, kulturą i językiem, który jest kluczem do wszystkiego.

Co zadecydowało o pójściu w kierunku aktorstwa?

To był pewien proces, który dział się krok po kroku. Nie wiedziałem od dziecka, co chcę robić w życiu. Nie chcę, żeby to zabrzmiało pretensjonalnie, bo mam, wobec tego, co się stało dużo pokory, ale to nie ja wybrałem teatr, tylko teatr mnie wybrał. Lubiłem zajęcia z teatru, dobrze mi na nich szło. Pomyślałem wtedy – dlaczego nie scena. Mój ojciec, z kolei, był zawodowym piłkarzem i podobną karierę wymarzył sobie dla mnie. Ja sam rozważałem przez chwilę zdawanie na prawo. Tyle, że jak znajomi mnie pytali, co mi się podoba w zawodzie prawnika, okazywało się, że to, co mnie najbardziej pociąga to retoryka, krasomówstwo i publiczne wystąpienie. I mówili mi wtedy: „Ty nie chcesz zostać prawnikiem, ty chcesz być aktorem" [*śmiech*]. Kiedyś nieśmiało zapytałem profesora, który prowadził zajęcia z teatru, co powinienem wybrać. I on odpowiedział mi, że jego zdaniem byłbym kompletnym głupcem, gdybym nie został aktorem, po czym wyszedł, teatralnie trzaskając drzwiami [*śmiech*]. Dodało mi to odwagi, żeby w końcu odpowiedzieć sobie na pytanie, czego chcę. Profesor był dla mnie takim duchowym ojcem. Mojemu tacie nie udało się

pomóc mi w kwestii znalezienia drogi życiowej, ale udało mu się coś innego – odpuścić, porzucić własne ambicje, zrozumieć mnie i wesprzeć.

Jednym z wiodących tematów filmu „Kurier” jest kwestia wyboru.

W pewnym sensie. Główny bohater dostaje rozkaz, z którym się nie zgadza. Kreuje sobie antytezę i dąży do celu, żeby realizować ten drugi scenariusz. Ta sytuacja pokazuje zresztą, jak skłócona była wtedy władza. Później, kiedy Nowak-Jeziorański spotyka młodych ludzi już uzbrojonych i orientuje się, że powstania nie da się zatrzymać, dochodzi do wniosku, że trzeba się poddać losowi i na spotkaniu z dowódcami AK wypowiada opinię, która tak naprawdę zgadza się z tym pierwszym rozkazem. Ta opinia jest „post-powstańcza”, to znaczy ten dialog nie miał historycznie nigdy miejsca w takiej formie, to już jest powiedziane z perspektywy. Ale merytorycznie wszystko się zgadza.



Kadr z filmu „Kurier”, fot. Bartosz Mrozowski.

To bardzo dojrzała wypowiedź.

Bo jest prorocza. Stanowi odzwierciedlenie tego, co Jan Nowak-Jeziorański napisze w przyszłości. Film tak naprawdę nie broni decyzji o rozpoczęciu powstania, ale pokazuje w jakim duchu została ona podjęta. Bardzo lubię ostatnie ujęcie filmu, kiedy rozpoczyna się powstanie, odwracam się do Partycji Volny i z jakimś żalem pytam: „Idziemy?” I potem wszyscy biegną do światła. Światło oznacza śmierć. I tam nie ma zaskoczenia, bo przecież znamy historię, wiemy, jaki przebieg miało powstanie. Historii nie możemy zmienić, ale możemy ją zrozumieć i wyciągnąć wnioski na przyszłość. Dzisiaj z perspektywy czasu łatwo powiedzieć, że Powstanie Warszawskie było błędem, bo zginęło tysiące ludzi, a Warszawa została kompletnie zniszczona, ale przecież nikt się tego nie spodziewał.

Co według Pana może w tym filmie przemówić do widza zagranicznego?

Film ten ma być przede wszystkim dobrą przygodą, rozrywką, z elementami kina akcji czy kina szpiegowskiego. Wspomniała Pani o Indiana Jonesie. To jest według mnie dobre porównanie, bo w „Kurierze” jest dużo lekkich scen, robionych z dużym poczuciem humoru. Jest też wiele wymyślonych epizodów, jak na przykład wątek związany z agentką Doris.



Kadr z filmu „Kurier”, fot. Bartosz Mrozowski.



Kadr z filmu „Kurier”, fot. Bartosz Mrozowski.

Właśnie jej postać bardzo mi przypominała postać Elsy Schneider z trzeciej części „Indiana Jones”, nawet fizycznie aktorki są bardzo podobne i rozwój tego wątku jest podobny, chociaż nie zdradzajmy tutaj, jak się rozwinie.

Wątek ten został specjalnie wymyślony, dla urozmaicenia fabuły. Reasumując – jest to kino dynamiczne, a przy okazji widz może nauczyć się czegoś na temat historii Polski. „Kurier” spełnia więc dwie podstawowe funkcje kultury: dostarcza rozrywkę i edukuje.

W następnym filmie z Pana udziałem wciela się Pan w postać innego sławnego Polaka, matematyka Stanisława Ulama, który między innymi brał udział w tworzeniu broni

nuklearnej w USA. Czy może Pan coś powiedzieć już bliższego na temat tego filmu?

Jeszcze nie widziałem końcowej wersji filmu, więc mogę go ocenić jedynie na podstawie tego, co przeżyłem na planie. Ten film ma w sobie ogromny potencjał. Jest to kino artystyczne, autorskie, podobne w konwencji do „Pięknego umysłu". Wszechobecna w tym filmie bomba wodorowa jest elementem budującym napięcie, zgodnie z powiedzeniem, że bez konfliktu nie ma teatru. To najbardziej potworna broń, jaką człowiek stworzył i to jest przerażające, że jednym przyciśnięciem czerwonego guzika może rozwalić cały świat. A paradoks całej tej sytuacji polega na tym, że od wybuchu bomby atomowej w Hiroszimie i Nagasaki do dzisiaj nie było incydentu z bronią nuklearną, że dzięki temu utrzymuje się na świecie pokój, bo wiadomo, że użycie broni wodorowej oznaczałoby koniec naszej cywilizacji.

Czy Profesor Ulam miał w związku z tym jakieś rozterki moralne?

Tak, oczywiście. Hiroszima dla twórców bomby była szokiem, nie mogli pogodzić się z tym, że ich wynalazek został wykorzystany w tak okrutny sposób. A potem kazano im wymyślić broń o jeszcze większej mocy. I Ulam stanął przed dylematem, czy dzielić się wynikami swoich badań.



Kadr z filmu o matematyku Stanisławie Ulamie, fot. Jiri Vurma.

Obraca się Pan ciągle w tematach historycznych. Ostatnio zagrał Pan jeszcze – w Teatrze Telewizji – postać Gustawa Herlinga-Grudzińskiego.

Ta sztuka oparta jest na jego powieści o gułagu „Inny świat". Temat mroczny – brud, głód i przemoc. Ale moje kolejne filmy nie będą już produkcjami historycznymi. Wracam do współczesności.

Włada Pan biegle trzema językami: francuskim, polskim i angielskim…

…jeszcze znam włoski.

Popyt na takich aktorów, jak Pan, powinien być, więc spory.

Znajomość języków daje mi przewagę [*śmiech*]. Jak nie we Francji, to w Polsce, jak nie w Polsce, to w Szwajcarii. Praca aktora jest nieregularna – czasem człowiek jest bardzo zajęty, a potem następuje długa przerwa. Nie patrzę na to, czy rola jest mała czy duża – chcę, żeby zawsze była dla mnie jakimś wyzwaniem, albo chociaż przyjemnością. Wychodzę z założenia, że jak film jest udany to ludzie pójdą go zobaczyć, a jak nie, to jest on dla mnie dobrym doświadczeniem. Jest jeszcze jedna ważna dla mnie sprawa: ja nie wierzę w talent, wierzę w ciężką pracę. Jak nie pracujesz nad sobą, to nic z tym talentem nie zrobisz. Nigdy nie słyszałem o talencie, który został zniszczony pracą.

Ale talent może mieć różne barwy, nie tylko musi oznaczać umiejętność szybkiego przyswojenie sobie tekstu. Można mieć także na przykład talent do pracy, do analizy czy determinacji. W tym kontekście, w czym leży Pana talent?

Myślę, że jest to właśnie talent do pracy. Bardzo dużo czasu spędzam na uczeniu się tekstu, na przygotowywaniu się do castingu czy jakiejś roli. To jest oczywisty element bycia aktorem, tak jak dla pianisty spędzanie dziesięciu godzin dziennie na ćwiczeniu. Ja to uwielbiam.

A ćwiczenie też może być pracą twórczą?

Na tym to polega. Występ jest jedynie końcowym rezultatem tej wielogodzinnej, twórczej pracy. Przy moim zawodzie istotne też jest spotkanie właściwych osób we właściwym momencie i wdzięczność za to, że ktoś dał Ci szansę. Całe moje działanie opiera się na wierze w pracę i w to, że będzie dobrze. Jak miałem okres posuchy, nadzieja była dla mnie bardzo ważna. Propozycja roli zawsze się w końcu pojawia.



„”Kurier” w reż. Władysława Pasikowskiego, obsada: Philippe Tłokiński, Julie Engelbrecht, Patrycja Volny, Jan Frycz, Rafał Królikowski, Cezary Pazura, Adam Woronowicz.

Film będzie pokazywany podczas Festiwalu Polskich Filmów w Austin oraz Festiwalu Polskich Filmów w Miami na Florydzie:

https://www.austinpolishfilm.com/

https://www.pffmiami.com/

Dla Powstańców Warszawy



„W hołdzie Powstańcom Warszawy”, arch. PUNKT.CA, fot. Yarek Dąbrowski.

Joanna Sokołowska-Gwizdka *(Austin, Teksas)*

O spektaklu „W hołdzie Powstańcom Warszawy”, którego premiera miała miejsce 15.10.2004 roku w Toronto. Fragment książki „Teatr spełnionych nadziei. Kartki z życia emigracyjnej sceny”, wyd. Novae Res 2016 r.

Warszawa 1944 r. Mieszkający na Saskiej Kępie siedemnastoletni Jurek Pilitowski, zostaje zmobilizowany. Udaje się na punkt zborny, gdzie dostaje przydział do zgrupowania Golski, III Baon Pancerny, Pluton 155. Od tej chwili jest żołnierzem. Godzina „W” zastaje go na rogu ulicy Wilczej i Emilii

Plater. Walczy w rejonie Politechniki. Broni każdego domu, każdego podwórka. Przetrwał Powstanie, dzięki fachowej kadrze oficerskiej swojego zgrupowania i braku nieprzemyślanych akcji. Tak twierdzi.

Jerzy Pilitowski niechętnie mówił o Powstaniu, trudno było z niego wyciągnąć obszerną relację. Na każde pytanie odpowiadał krótko i lakonicznie. Uważał się za jednego z wielu. – To nie jest żadne bohaterstwo, tylko normalna sprawa. – mówił. – Nikomu do głowy nie przyszło, żeby w takiej chwili nie chwycić za broń i nie iść walczyć za Ojczyznę.

Takie było wychowanie tego pokolenia. W jego domu panowała atmosfera konspiracji, rodzice działali m.in. w organizacji „Żegota", która pomagała Żydom, a on sam, jako młody chłopiec, nie raz służył za gońca, czy brał udział w innych akcjach. Nic więc dziwnego, że bez pytania rodziców, jako 15-to latek wstąpił do Szarych Szeregów. Uważał, że tak trzeba zrobić.

Właśnie tym wszystkim „jednym z wielu" młodym i starszym bohaterom, tym którzy przetrwali i tym którzy nie przeżyli, dedykowany był spektakl.

> W CNN znów idzie film o Powstaniu. – odnotował Jerzy Pilitowski w swoim „Dzienniku". – Nareszcie trochę

> Amerykanów czegoś się dowie. I może trochę Kanadyjczyków przy okazji. A w Kanadzie nadal nie uznaje się powstańców za kombatantów (chociaż i Hitler w końcu respektował naszą przynależność do alianckiej koalicji).
>
> (13 czerwca 2004)

Przeżywał, jeśli ktokolwiek nie uznał Powstańców za regularne wojsko. To dodatkowy aspekt kanadyjskiej premiery przedstawienia „W hołdzie Powstańcom Warszawy”[1].



„W hołdzie Powstańcom Warszawy”, z lewej Bernardetta Wróbel.

Przez pożary i dymy,

Od Woli aż po Mokotów,
Brzmi nasze hasło: „Walczymy!”
I dumny nasz odzew: „Gotów!”

Bo serca nasze odważne,
Nie można ich uciemiężyć.
Śmierć? Nieważne!
Życie? Nieważne!
Ważne – zwyciężyć!**[2]**

Ten wiersz stał się mottem i myślą przewodnią pierwszej części spektaklu. Chłopcy i dziewczęta idą do powstania z nadzieją na zwycięstwo. My nie potrzebujemy lamentu, mówią młodzi powstańcy, my potrzebujemy, broni, amunicji, my tu walczymy, a nie umieramy. Na plan pierwszy wysuwają się aktorzy – Mirosław Połatyński, Andrzej Słabiak, Rafał Sokołowski. Różnią się strojem i rolą. Jest dowódca, w czarnej skórzanej kurtce, starszy wiekiem, pewny i niezłomny, jest oficer w mundurze, jest powstaniec w kurtce moro. Oni pełnią rolę wiodącą. Mówią o ważności zadania, o tym, że należy walczyć i się nie poddać. Emanuje z nich siła, zarażają nią młodych. Młodzież jest ufna, poddaje się bez żadnego *ale*…."życie – nieważne, śmierć – nieważne, ważne – zwyciężyć". W scenicznym obozie jest radośnie. Cudowne są dzieci powstańcze. Mateusz Bobel w hełmie spadającym mu na czoło, z pełną finezją, gracją i z aktorskim wyczuciem śpiewa piosenkę M. Jezierskiego o sanitariuszce Małgorzatce. Znane melodie wzruszają, publiczność co chwilę bije brawo. My zwyciężymy, Warszawa walczy.

Druga część to klęska powstania. Dziecko zapowiada swoją śmierć, matka rozpacza. Chłopiec – sierota wzruszająco mówi wiersz o tym, że z głodu wypalił peta. Mama by go skrzyczała, ale on nie ma mamy, sam jest na świecie. Niezłomny wcześnuiej dowódca, twardy i hardy – jednak załamuje się. Ginie łączniczka Zosieńka. Nic o niej nie wiadomo, skąd przyszła i gdzie zginęła.

Śpiewała wszystkim wesołe piosenki, niosła radość i wiarę, ale już nie śpiewa. Nie ma Zosieńki. Jak tysiące innych dziewcząt i chłopców, harcerek, sanitariuszek. Nie ma ich. Z tych zgliszcz, bólu i rozpaczy, wyłania się jednak nadzieja. Małgorzata Maye śpiewa piosenkę z repertuaru Mieczysława Foga „Piosenka o mojej Warszawie". Jaka będzie ta Warszawa, jaka będzie Polska. Kobieta przygarnia bezdomne dziecko, powstańcy odszukują się w zgliszczach, zbierają moce do odbudowania Warszawy. Z ludzi, którzy ocaleli, powstaje pomnik Warszawy niczym warszawska Nike. Pieśń „Jeno zdejmij mi z tych oczu, szkło bolesne…." do słów K.K. Baczyńskiego, otacza ich ramionami (Małgorzata Maye). Dźwięczy w uszach i kończy spektakl……nadzieją.

Maria Nowotarska:

Bardzo mi zależało, aby w naszym spektaklu była nadzieja. Dlatego oprócz poezji, która w powstaniu stała się zapisem chwili, mocną, prawdziwą relacją z tamtych dni, niesłychanie poruszających wierszy poetów-uczestników powstania – Baczyńskiego, Makuszyńskiego. Wierzyńskiego, dołożyłam, co jest zabiegiem dość szczególnym – poezję Wyspiańskiego. Dlaczego? Ze względu na bliską mu tradycję powstania listopadowego, tak znakomicie udokumentowaną przez niego, szczególnie w „Nocy listopadowej" i „Wyzwoleniu". Te utwory i

jego poezja to przecież wyraz czystego pragnienia wolności. A nasze pokolenie wychowane jest na tej materii i w tym duchu – w marzeniu o Polsce odrodzonej. Jak mówi Kora w „Nocy listopadowej”, posiane raz ziarno – krew, da w końcu z siebie nowe życie, które z niego wyrośnie[3].



„W hołdzie Powstańcom Warszawy”, z lewej Andrzej Słabiak, z rękami podniesonymi w górę Margaret Maye.

Po klęsce Powstania i zburzeniu Warszawy, ze zgliszcz rodzi się nadzieja. Rafał Sokołowski – jako młody żołnierz mówi słowami modlitwy Konrada z „Wyzwolenia” Wyspiańskiego.

Chcę, żeby w letni dzień,
w upalny letni dzień
przede mną zżęto żytni łan,
dzwoniących sierpów słyszeć szmer
i świerszczów szept, i szum,
i żeby w oczach mych
koszono kąkol w snopie zbóż.

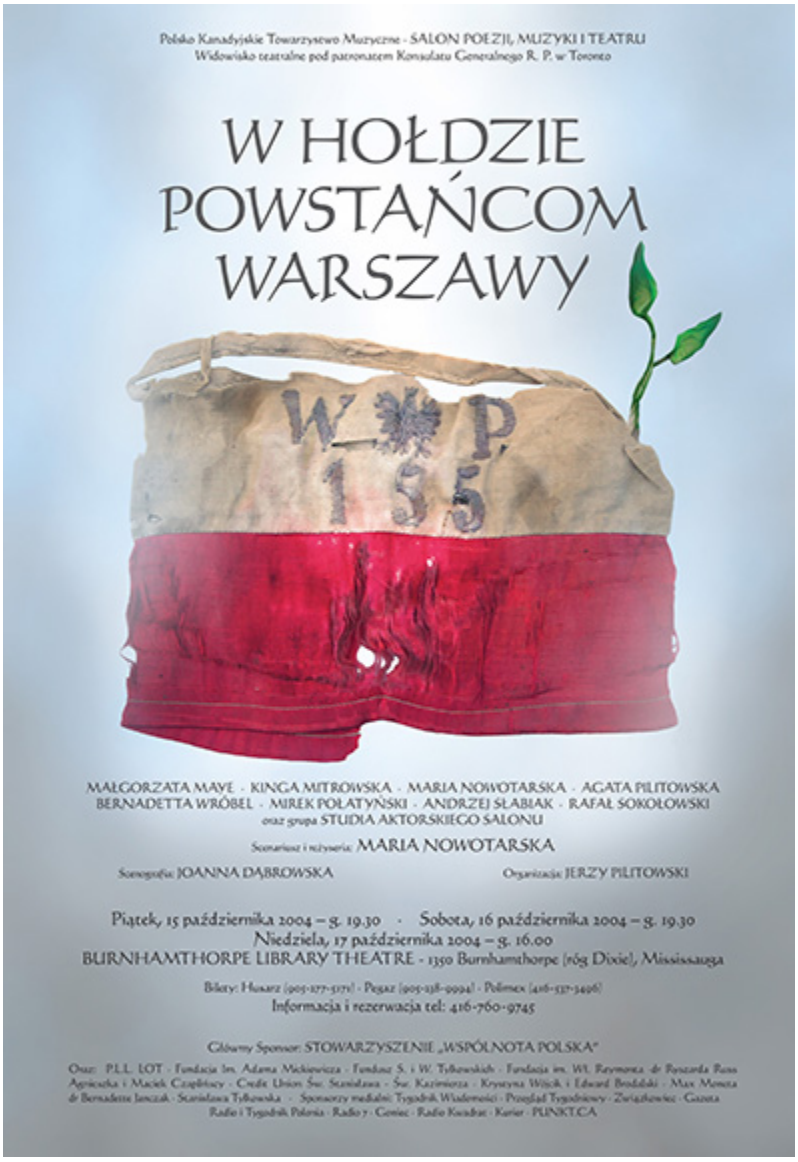

Projekt plakatu Joanna Dąbrowska.

Nadzieję widać też w plakacie projektu Joanny Dąbrowskiej, którego głównym elementem jest biało-czerwona powstańcza opaska. Wyrasta z niej zielona gałązka.

Maria Nowotarska:

Jest to opaska mojego męża Jerzego Pilitowskiego. Ocalił ją i zachował przez wiele trudnych chwil – miał ją ze sobą w niewoli,

potem kiedy walczył w armii Andersa, a później przemycał ją w bucie do Polski. Teraz jest z nami w Kanadzie.

***

W inscenizacji niezwykłą rolę odegrała malarskość przekazu. Wiele scen przypominało obrazy. Postacie zatrzymywały się w bezruchu, na kształt posągu, pomnika. Np. grupa dziewcząt zastyga nieruchomo z lewej strony sceny, niczym starożytne rzeźby, a z prawej strony, w białej sukni Kinga Mitrowska elektryzuje swoim niebywałym głosem.

Symboliczna, wymowna i oszczędna scenografia grała swoją rolę. W tle polska flaga. Czerwona jej połowa spoczywała na ziemi, jako symbol przelanej krwi, a biała część, jako nadzieja wznosiła się w niebo. Przeważała wojskowa kolorystyka khaki, w kształcie prosta i symboliczna. Drzewo i krzyż, kawałki dachówki, domu, muru, rzucone bezładnie na scenę, mogły odgrywać różne role – barykady w pierwszej części, schronu, czy piwnicy w drugiej części. Dramatyzmu dodawały przenikające scenę fragmenty dokumentalnych kronik powstańczych.

To przedstawienie wzbudziło bardzo wiele emocji. Na widowni siedzieli zarówno dawni uczestnicy Powstania, jak i młodzież z pokolenia ich wnuków. I jedni, i drudzy po spektaklu mieli w oczach łzy wzruszenia. Na korytarzu słyszało się wspomnienia

sprzed lat, autentyczne historie opowiadane przez ludzi stamtąd – z Warszawy czasów wojny.

Gdy ze sceny padły słowa, że przedstawienie dedykowane jest nie tylko poległym, ale i tym żywym, którzy są wśród nas, na widowni zapanowała cisza, a potem lawiną posypały się brawa. Ile strun zostało poruszonych, gdy dawni młodzi bohaterowie usłyszeli te same piosenki śpiewane przez młodzież w harcerskich mundurach, gdy poczuli, że o nich się nadal pamięta, gdy zobaczyli, że na scenie z gruzów rodzi się nadzieja, a po umarłych pozostał duch.

A młodzi? Podziwiali dziadków i babcie, a może im trochę i zazdrościli. W każdym razie była to dla nich lekcja patriotyzmu i historii. Spektakl ten połączył pokolenia.



Projekt scenografii Joanna Dąbrowska, arch. PUNKT.CA, fot. Yarek Dąbrowski.

---

[1] *W hołdzie Powstańcom Warszawy. Scenariusz i reżyseria: Maria Nowotarska. Występują: Małgorzata Maye, Kinga Mitrowska, Maria Nowotarska, Agata Pilitowska, Bernardetta Wróbel, Mirosław Połatyński, Andrzej Słabiak, Rafał Sokołowski oraz grupy Studia Aktorskiego Salonu „SAS" i „SAS" – junior. Scenografia: Joanna Dąbrowska. Organizacja: Jerzy Pilitowski. Prapremiera: 15 października 2004, Burnhamthorpe Library Theatre, Mississauga.*

[2] *Wiersz drukowany w piśmie „Barykada Powiśla”, nr 24 z 30 sierpnia 1944 r., gdzie był oznaczony inicjałami „J.B.” (Jan Brzechwa)*

[3] *Na podst.: Małgorzata Bonikowska, Powstańczy fresk – dokument chwili, „Gazeta” Toronto, 190, 1-3 października 2004 r.*



Inne fragmenty książki:

https://www.cultureave.com/tamara-l-sztuka-kazimierza-brauna/

https://www.cultureave.com/opowiesci-poli-negri/

http://www.cultureave.com/teatr-spelnionych-nadziei--opowiesc-o-polskim-teatrze-w-toronto/
http://www.cultureave.com/klan-pilitowskich/
http://www.cultureave.com/dobry-wieczor-monsieur-chopin/
http://www.cultureave.com/basniowy-galczynski/

Podróże i spotkania z czytelnikami:
http://www.cultureave.com/teatr-spelnionych-nadziei--podroze-i-spotkania-z-czytelnikami/

Wywiad Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm z Joanną Sokołowską-Gwizdka:
http://www.cultureave.com/joanna-sokolowska-gwizdka--laureatka-zlotej-sowy-polonii/

Książka jest dostępna w księgarniach stacjonarnych i internetowych w Polsce, a także na Amazon:
https://www.amazon.com/gp/offer-listing/8380832779/ref=-tmm_hrd_new_olp_sr?ie=UTF8&-

condition=new&qid=1512162735&sr=1-1

Kaja od Radosława, czyli historia Hubalowego krzyża

Rozmowy o książkach, które nie przemijają

Rozmowa z pisarką Aleksandrą Ziółkowską-Boehm

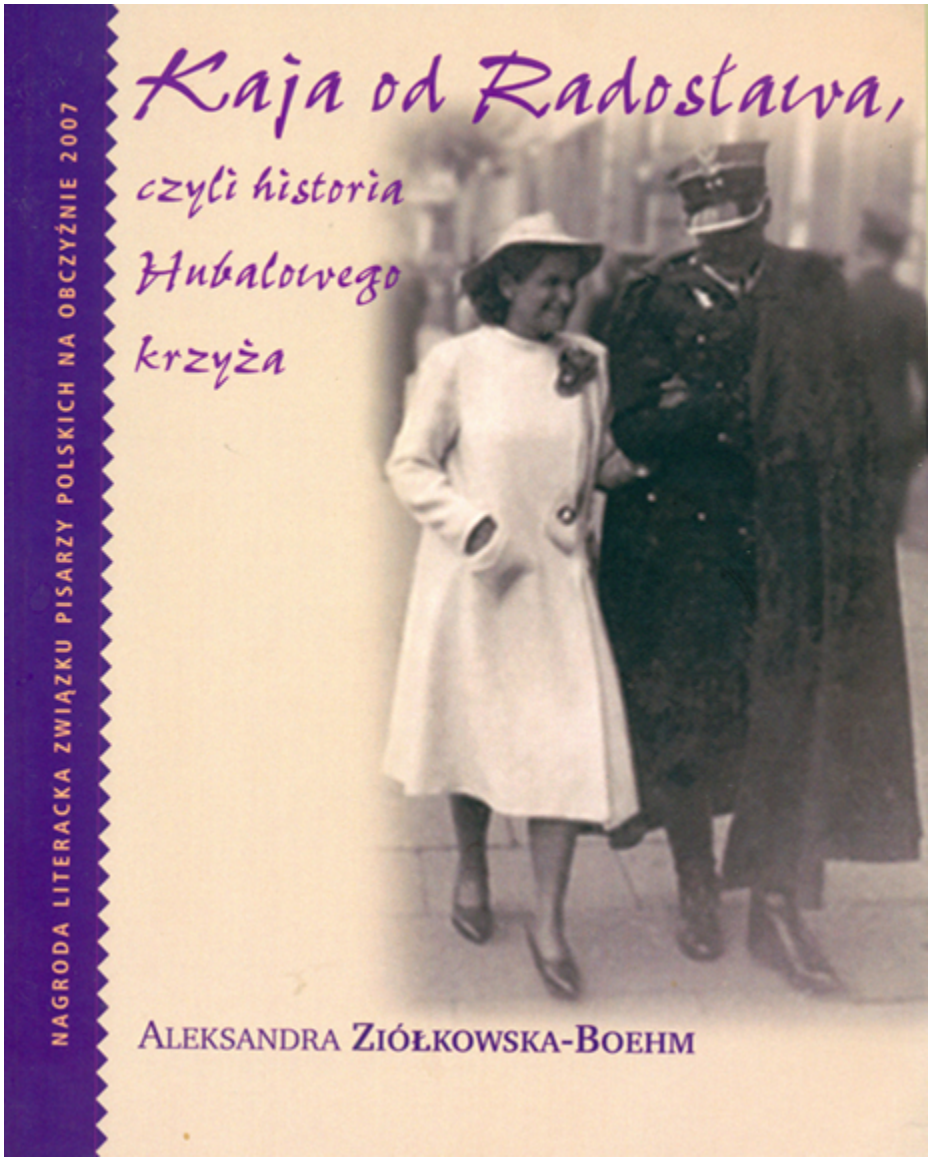

Drugie wydanie książki

Joanna Sokołowska-Gwizdka:

Warszawskie wydawnictwo Muza wydało Pani książkę pt. „Kaja od Radosława, czyli historia Hubalowego krzyża" (pierwsze wydanie w 2006 r.). Książka jest tak napisana, że stała się bestsellerem. Ma dwa wydania w języku polskim i dwa w angielskim, interesujące recenzje, dostała nagrodę.

Czyta się ją jednym tchem. Przepiękny, literacki język,

niemal filmowe opisy przyrody, pozornie nieistotne, ale stwarzające koloryt chwili i zbliżające nas do bohaterki szczegóły z życia codziennego, pasjonująca opowieść o życiu zwykłym i niezwykłym, wiele faktów historycznych, zbadanych przez Panią i drobiazgowo opracowanych, wszystko to musi zapaść w serca i umysły czytelników, a jednocześnie dać duży bagaż wiedzy historycznej.

Proszę powiedzieć, co Pani czuła po napisaniu tej książki?

Aleksandra Ziółkowska-Boehm

Książką tą spłaciłam swoisty dług wobec zaprzyjaźnionej ze mną od ponad 30 lat wspaniałej kobiety, i wobec szczególnego wpojonego mi obowiązku czy potrzeby, że należy dzielić się czymś dobrym, interesującym, by ocalić od zapomnienia.

Książka ta ma w zapleczu trudną polską historię ostatnich ponad 90 lat, bo tyle lat miała moja bohaterka, gdy o niej pisałam. Posuwając akcję i wydarzenia historyczne do przodu sięgałam po fragmenty książki historyka Marcina Kuli „Zupełnie normalna historia, czyli Dzieje Polski".

Na końcu swojej opowieści o Kai od Radosława napisałam:

„…Patrząc na życie Kai, zdumiewała mnie jej swoista zaradność, to, że nie zatraciła ambicji, radości i woli życia. Przeszedłszy

gehennę wojny, więzienie i obóz, stała się osobą twórczą, żywotną, a przecież zmagała się także z chorobami, problemami ze zdrowiem. Swoje życie ocenia pozytywnie. …Czy urodziła się „w czepku”, i wszystkie nieszczęścia, które ją spotykały umiała pokonać? Czy to sprawa charakteru i woli życia? Myślę, że ludzie różnią się między sobą tym, jak radzą sobie z problemami i jak z nimi walczą. Czy je przygniotą, złamią, czy dadzą powód do usprawiedliwiania, dlaczego życie było takie a nie inne, czy też zahartują, utwardzą, wzniosą, dadzą poczucie własnych możliwości, wyrobią charakter”.

Dlaczego wtedy, w latach okupacji, nie opuszczała jej wesołość i optymizm? Napisała mi na karteczce:

„Była wszędzie śmierć i rozpacz. Ale była i nadzieja i niczym nie dająca się zahamować radość życia dwudziestu kilku lat. Godzina policyjna i codzienne oczekiwanie, czy wrócą ci, co wyszli rano. Zaciemnienie i niebieskie płomyki w zapalonych kielichach. Patefon, ulubione „Sans Toi” i bomby. Powroty z akcji. Telefony, telefony, telefony. I niedzielne wędrówki w lasy. Róże i rany”.

…Czyli radość życia daje nie dająca się niczym zahamować młodość i beztroska dwudziestu kilku lat? …A później, do nas, wszystkich (– brzmi to jak stara i niemodna płyta) należy dbanie o teraźniejszość, by następnym pokoleniom lepiej się żyło. Zostajemy na straży przeszłości i staramy się ją uporządkować,

jak ja to właśnie robię snując swoją opowieść o Kai od Radosława, dzielnej, dumnej dziewczynie, którą kształtował „szeroki świat”. Tak kiedyś powiedziała jej siostra, która mając trzy lata zaginęła w górach Ałtaju w Dżungarii i odpowiedziała Kirgizowi, że poszła zobaczyć „szeroki świat”…

Tak pięknie pisze Pani we wstępie o przyjaźni, która łączyła Panią z Kają (Cezarią Iljin-Szymańską), „tą od Radosława” (zgrupowanie AK „Radosław” w Powstaniu Warszawskim), o wieloletniej wymianie myśli, spostrzeżeń, różnych życiowych historii i pomyśle na książkę, który przyszedł po wielu latach. Jak to jest, gdy pisze się czyjąś biografię?

Każdy z nas ma historię do opowiedzenia. Zacytowałam we wstępie przekazane przez Isaaka B. Singera „przesłanie dla pisarzy”: pisać, kiedy się ma *story to tell*, potrzebę opowiedzenia tej właśnie historii, pasję i przekonanie.

Nie napisałam typowej biografii, napisałam opowieść historyczną na podstawie życia konkretnej osoby. Jest to opowieść historyczna, bo właśnie wydarzenia historyczne wywarły – jak na wielu innych – duży wpływ na życie mojej bohaterki. Dzieciństwo na Syberii, szkoła w Wilnie, studia architektury w Warszawie, okupacja w Warszawie, Powstanie Warszawskie, obóz NKWD w Ostaszkowie i odbudowa Warszawy, w którą moja bohaterka –

ceniona architekt – była czynnie włączona.

Pokazałam te momenty z życia mojej bohaterki, które uznałam za charakterystyczne i szczególnie interesujące. Chciałam pokazać dzielnego człowieka, kobietę, której nie złamało życie, która wciąż jest ciekawa świata i ludzi, zawsze była dzielna i czynna. I pełna szczególnego optymizmu. Jak się mówi po angielsku *she is bigger than life.*

Aby opisać życie Kai wybrałam formę literackiej opowieści, ze scenami, dialogami, z przywoływaniem zaplecza historycznego. Wstawiam swoje własne opisy, odczucia, wrażenia, komentarze. W przypisach daję objaśnienia.

Podobnie napisałam kiedyś opowieść o Romanie Rodziewiczu: „Z miejsca na miejsce. W cieniu legendy Hubala".

Czy literatura faktu przeżywa obecnie rozkwit?

Absolutnie tak! Wańkowicz by się cieszył. Biografie, monografie, opowieści historyczne są obecnie bardzo popularne, w ogóle literatura faktu zdominowała rynek księgarski. Wystarczy wejść do księgarni (myślę o amerykańskich księgarniach) i zobaczyć, jakie książki wystawiane są w dziale nowości. Podobnie współczesny film oparty jest często na życiu prawdziwej osoby czy na prawdziwym zdarzeniu. Myślę, że XXI wiek będzie należał

do literatury faktu. Dobrze by było, by nagrodę Nobla dostała książka *non fiction* (przed laty nominowany był Ryszard Kapuściński).

Współczesny czytelnik jest głodny prawdziwych wydarzeń, nie ma czasu na fikcję. Piszę o tym w eseju: ” Literacki reportaż, opowieść, czyli literatura faktu”, który ukazał się w Stanach w nowojorskim kwartalniku „The Polish Review” i w książce „Untold Stories of Polish Heroes From World War II”. Po polsku fragmenty mają się ukazać w londyńskim „Pamiętniku Literackim” i całość w książce „Pisarskie delicje”, którą wydaje Bellona.

Za zainteresowaniem czytelniczym podąża rynek wydawniczy, tak więc i wydawcy chętniej wydają książki literatury faktu.

Patrząc na rynek amerykański wydaje mi się, że tak właśnie jest. Przykładem może być James Frey, autor wyróżnionej przez Oprah Winfrey książki „A Million Little Pieces”, która została bestsellerem jako opowieść wspomnieniowa z jego życia. Jak się dość szybko okazało, taką nie jest, autor wstawił wiele nie swoich wydarzeń, przejaskrawił inne. Frey tłumaczył się, że kiedy przyniósł maszynopis wydawcy jako powieść, ten mu ją odrzucił, ale powiedział, że zainteresowany byłby, gdyby była to książka biograficzna. James Frey przerobił ją i napisał w

pierwszej osobie, jako opowieść o swoim życiu. Książka została wydana i wywołała wielkie poruszenie. Kiedy okazało się, że jego życie nie było aż tak trudne i fascynujące jak jest w książce, powstał swoisty skandal.

Ale to już jest inny temat.

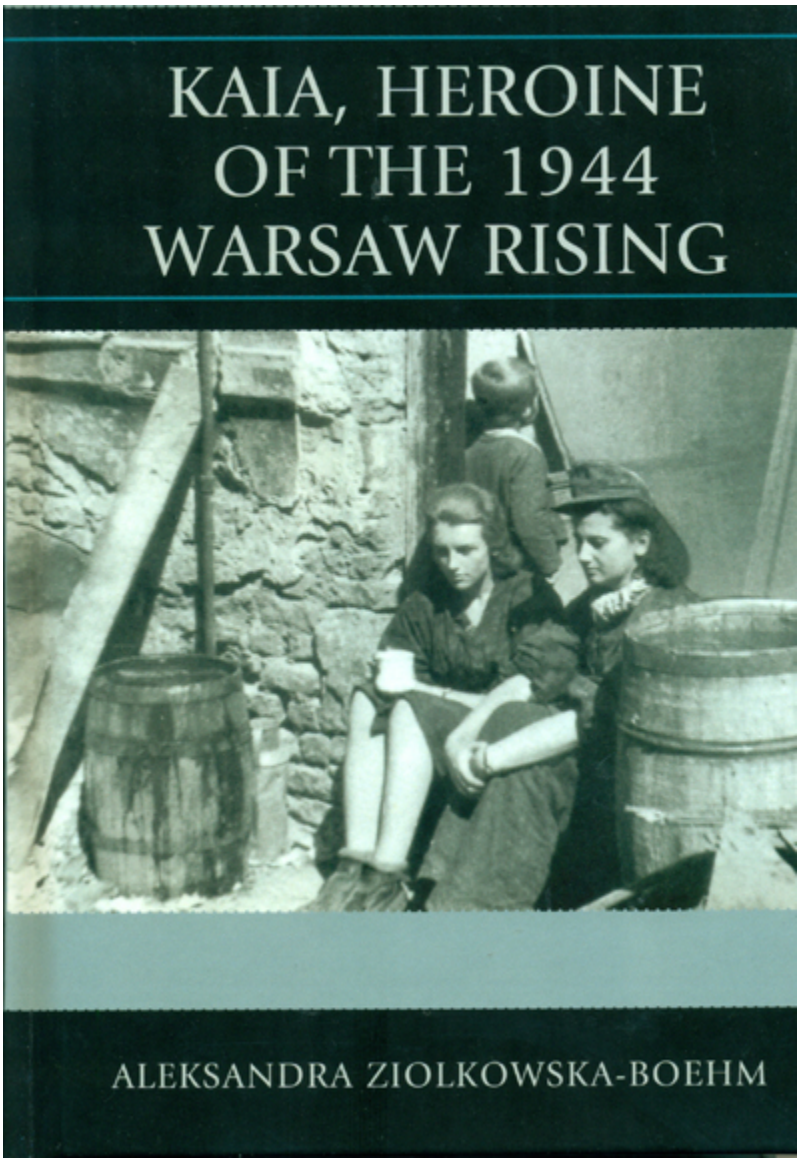

Amerykańskie wydanie książki.

Powracając do książki o Kai od Radosława. Jak się Pani do niej przygotowywała?

Przede wszystkim musiałam zrobić *research* dotyczący czasów i przestrzeni, które przywołuję. Czytałam książki historyczne, pamiętniki, wspomnienia. Uzgadniałam wszystko, co mogłam ustalić. Na przykład moja bohaterka zapamiętała z dzieciństwa na Syberii, że Barnaul miał kopalnię złota. Sprawdziłam, że to była kopalnia srebra.

W pierwszej części książki piszę o dzieciństwie Kai na Syberii, o kolonii polskiej, ludziach, którzy tam żyli w wielkiej symbiozie. Sprowadziłam z Polski książki znawcy tego tematu, profesora Uniwersytetu Wrocławskiego, Antoniego Kuczyńskiego. Potem sam mi przysłał monografię poświęconą Bronisławowi Piłsudskiemu, który był bratem marszałka. Jest to postać wybitna. Piłsudski za udział w zamachu na cara Aleksandra II skazany został na śmierć, potem zamieniono wyrok na 15 lat zesłania na Sachalin. Jego osiągnięcia naukowe stworzyły podstawę do badań etymologicznych i językowych ludów rosyjskiego Dalekiego Wschodu, plemion Syberii: Ajnów, Gilaków, Niwchów, Oroków i Mangunów. Kolejno – wraz z Wacławem Sieroszewskim – udali się na badania kultury Ajnów na wyspie Hokkaido (wówczas zwanej Yesso).

Przywołałam w swojej książce Polaków, którzy na Syberii

dokonali wielkich badań, ich imionami nazwane są tam góry, doliny i miasto.

Podobny *research* zrobiłam do kolejnych lat – czasów okupacji w Warszawie, Powstania Warszawskiego.

Sprawdzałam wiele podanych informacji dotyczących lat powojennych, nawet dotyczących dalekiej rodziny Kai. Jeden z kuzynów uchodził za bohatera, bo wysadził pomnik Stalina na Śląsku. Sprawdziłam i żadnego pomnika Stalina na Śląsku nie było. Drugi miał pracować jako dyrektor radia w Katowicach. Moi znajomi sprawdzili, dostałam listę wszystkich dyrektorów radia od wojny, nie było tam jego nazwiska.

Więc takie różne opowieści należy podawać ostrożnie.

Kaja po wojnie wiele podróżowała. Mój mąż Amerykanin zareagował na to zdziwieniem. – Jak to, to w Polsce komunistycznej ludzie jeździli na wycieczki za granicę?... Musiałam ten temat bardziej zbadać, bo wiedziałam, że takie pytania nie on jeden będzie zadawał. Dotarłam do interesującej książki Pawła Sowińskiego „Wakacje w Polsce Ludowej" (Wydawnictwo Trio). Autor z tego tematu doktoryzował się u profesora Marcina Kuli.

„Kaja od Radosława" ma blisko 100 przypisów i dołączoną

bibliografię.

Książka zawiera też bogaty zbiór fotografii.

Ustalałam je z graficzką i autorką okładki, Maryną Wiśniewską. Dostałam zgodę Bohdana Bułhaka na druk zdjęć zburzonej i potem odbudowanej Starówki warszawskiej jego słynnego dziadka, Jana Bułhaka; zdobyłam piękne fotografie z Powstania Warszawskiego Wiesława Chrzanowskiego (o którym piszę w książce wydanej pt. „Druga bitwa o Monte Cassino i inne opowieści" (Wydawnictwo Iskry). Cześć zdjęć miałam w swoim archiwum, a wszystkie własne i rodzinne dostarczyła mi bohaterka.

Książka ma ciekawą szatę graficzną, zdjęcia są wkomponowane w tekst. Są w niej także rysunki Kai – obozu w Ostaszkowie, kolonii polskiej w Ałtaju, i inne.

Książka ma piękne recenzje i głosy. Pisali je m.in. Krzysztof Masłon, Anna Bernat, Janusz Paluch, Krzysztof Zajączkowski, Hanna Karp, Anna Malcer-Zakrzacka, Katarzyna Sipko, Elżbieta Nowak, Regina Wasiak-Taylor, Krystyna Koniecka. W drugim wydaniu „Kai" na końcu książki przytoczone są wybrane fragmenty. Cezary Chlebowski w „Tygodniku Solidarność" napisał: "Lektura pisarstwa pani Oli to istna uczta duchowa. To nie tylko

wędrówka po wydarzeniach, ale i ich konsekwencje, bo autorka ma rzadki dar wyszukiwania białych plam w sprawach – zdawać by się mogło – powszechnie znanych. Jej pisarstwo (a jest to – obok „Kai" – także „Blisko Wańkowicza", „Kanada, Kanada", „Podróże z moją kotką" oraz piętnaście innych tytułów) cechuje wielka przestrzeń we wszystkich wymiarach. Choć pisze o sprawach polskich, nadaje im preriowy koloryt" . Fragmenty książki były też drukowane w kilku pismach.

Prof. Antoni Kuczyński wydrukował jeden w wydawanym przez Uniwersytet Wrocławski i Związek Sybiraków piśmie „Zesłaniec". Inny – dotyczący Powstania Warszawskiego – wydrukował jezuicki „Przegląd Powszechny", jeszcze inny – krakowski „Dziennik Polski" i nowojorski „Przegląd Polski".

A jak sama bohaterka – Kaja od Radosława – przyjęła tę książkę?

Gdy pierwsze egzemplarze były gotowe, współwłaścicielka Wydawnictwa Muza, Małgorzata Czarzasty, osobiście zawiozła książkę mojej bohaterce. Jak ładnie!

Po lekturze Kaja przysłała mi liścik:

„Kochana Oleńko! Książka jest piękna, brak mi słów żeby

wyrazić swój zachwyt. Dziękuję Ci z całego serca, że jest tak prawdziwa jak jestem ja sama. Ciągle jeszcze nie mówię, że byłam, bo nadal ciągle jestem i bardzo chcę się z Tobą zobaczyć. Całuję Cię serdecznie i czekam, Kaja".

Czy autor książki pt. „Oddział majora Hubala" Marek Szymański, to mąż Kai?

Tak, to jej mąż. Marka Kaja znała od czasów okupacji. Podobnie jak jej brat, Modest Iljin – pseudonim „Klin", był żołnierzem Hubala.

Marek Szymański to był bardzo dzielny człowiek, Kapitan saperów Armii Krajowej, używał pseudonimów „Sęp", „Rafał", „Czarny", dowódca piechoty w oddziale majora Hubala, uczestnik Wywiadu Wschodniego KG ZWZ OSR, II Północ-Wilno, Oddziałów dyspozycyjnych Kedywu KG AK, Kompanii Warszawskiej w 27 Wołyńskiej Dywizji AK, Baonu „Czata 49" Zgrupowania „Radosław" w Powstaniu Warszawskim. Odznaczony srebrnym krzyżem Virtuti Militari, Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, 4-krotnie Krzyżem Walecznych. Markowi Szymańskiemu poświęcona jest tablica wmurowana w warszawskiej katedrze polowej na ulicy Długiej.

W książce „Kaja od Radosława" cytuję jego wspomnienia, gdy w czasach stalinowskich siedział w więzieniu we Wronkach.

Miałam zaszczyt znać i Kaję, i Marka.

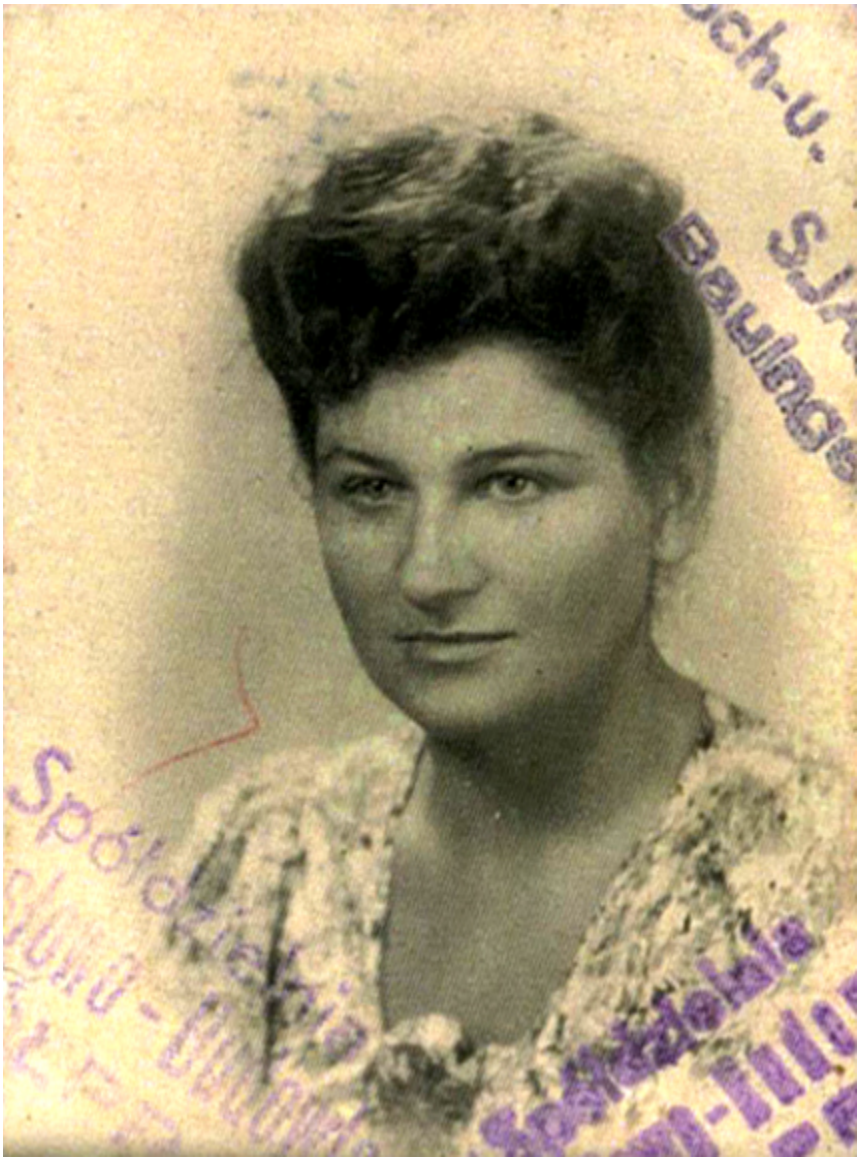

Kaja w okresie okupacji.

Co się stało z Kają po upadku Powstania Warszawskiego?

Kaja po Powstaniu Warszawskim, ranna, z wielkimi trudnościami pojechała do babci w Białymstoku. Tego samego dnia przyszło NKWD i ją aresztowało. Niebawem wywieziono ją do obozu

NKWD w Ostaszkowie. …Była w sandałkach, takim „ludzkim wężem”, gęsiego, szła z innymi po śniegu.

Wróciła do Polski jesienią 1946 roku z tyfusem, malarią, ważąc 38 kilogramów. Spotkali się z Markiem i już się nie rozstawali. Dzielni oddani Polsce ludzie.

W książce o Kai piszę także o Stanisławie Skalskim, wybitnym słynnym lotniku, który wrócił po wojnie do Polski. Jest tam też fotografia z naszego spotkania w warszawskim mieszkaniu.

W książce obecna jest legenda Majora Hubala. Nie jest to pierwsza Pani książka, w której obecna jest historia związana z oddziałem Henryka Dobrzańskiego. Napisała Pani książkę opartą na losach jednego z Hubalczyków Romana Rodziewicza pt.: „Z miejsca na miejsce. W cieniu legendy Hubala”, miała trzy wydania (Kraków 1983, Warszawa 1986, 1997; i kolejne – uzupełnione w wyd. Iskry w 2012 roku w tomie „Lepszy dzień nie przyszedł już”).

Za opowieść o Rodziewiczu otrzymała Pani doroczna nagrodę w dziedzinie literatury („Creative Nonfiction”) przyznaną przez Delaware Division of the Arts w 2006 roku. Jedna z jurorek, autorka książek i wykładowczyni “creative writing program na uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku, Suzan Sherman tak napisała o tej książce:

The narrative is immediately gripping and compelling – the reader feels in the moment from the first sentence without it even becoming "sensationalizing". The competent, even tone is perfect for subject matter describing such horror. **Takie książki dotyczące polskiej historii, wydawane w Ameryce obalają wiele stereotypów, wynikających z niewiedzy. Jak zostało przyjęte tłumaczenie „Kai od Radosława"?**

Książka ukazała się w Stanach pod tytułem „Kaia Heroine of the 1944 Warsaw Rising" miała dwa wydania (Lexington Books, 2012, 2014). Recenzje (są na tylnej okładce) napisali, między innymi Zbigniew Brzeziński, Charles S. Kraszewski, Stanley Weintraub, Anna M.Cienciala, Karl Maramorosch. Interesujące obszerne omówienie podano w brytyjskim „Reviews in History".

W 2007 roku „Kaja od Radosława" dostała nagrodę najlepszej książki roku londyńskiego Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Cytuję: „Jury Związku Pisarzy przyznało Nagrodę Literacką Aleksandrze Ziółkowskiej-Boehm za książkę napisaną z prawdziwą pasją i życzliwością do świata, za celny wybór bohaterki, której koleje życia odzwierciedlają pogmatwane i dramatyczne losy naszej ojczyzny".

Jury: Krystyna Bednarczyk-przewodnicząca, Magda

Czajkowska, Juliusz Englert, Andrzej Krzeczunowicz, Anna Maria Mickiewicz, Krzysztof Rowiński, Nina Taylor-Terlecka, Regina-Wasiak Taylor- sekretarz. Czym dla Pani było to wyróżnienie?

Bardzo się ucieszyłam. Żal mi było, że moja bohaterka nie doczekała londyńskiej nagrody; nie doczekała także amerykańskiego wydania książki.

W 2006/2007 była Pani stypendystką Fundacji Fulbrighta na Uniwersytecie Warszawskim. W tym czasie ukazała się „Kaja od Radosława"... Uczestniczyła więc Pani w promocji książki.

Przebywałam dwanaście miesięcy w Polsce jako „Fulbright scholar". Towarzyszył mi mój mąż Norman. Oczywiście, bardzo cieszyłam się z tego stypendium. Przy okazji uczestniczyłam w promocjach książki – miałam spotkania autorskie w różnych miejscach, o których potem opowiadałam Kai. Była niestety już zbyt słaba, by w nich uczestniczyć.

Zmarła 17 lipca 2007 roku. Byłam na jej pogrzebie na warszawskich Powązkach. Była grupa jej przyjaciół, a także wydawca książki, Małgorzata Czarzasty.

Kaja zapisała Pani miejsce w swoim grobie na starych

warszawskich Powązkach. To chyba wielki dowód wdzięczności bohatera książki dla autora, największy, jaki sobie można wyobrazić.

To niezwykły dowód wdzięczności.



Grób Kai na Powązkach.

Miała też Pani niezwykłe spotkanie z dziećmi, które zainscenizowały fragmenty Pani książki i je zilustrowały. Proszę o tym opowiedzieć.

Kilka lat po śmierci Kai zostałam zaproszona z jej kuzynką Małgorzatą Szemiot-Zoll do Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowaczego dla Dzieci Słabosłyszących Nr 15 im. Ottona Lipkowskiego w Warszawie przy ulicy Zakroczymskiej 6.

Odbyło się przedstawienie wykonane na podstawie mojej książki o Kai. Słuchałam i patrzyłam w zachwyceniu. Przed uroczystością obdarowano mnie niezwykłym darem: kopiami około 30 kolorowych obrazów. Całość zatytułowana: *Życie malowane „szerokim światem" – szlakiem Cezarii i Wiktorii Iljin. Od szczytów Ałtaju po Bałtyk i Tatry. Prace plastyczne na podstawie książki Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm "Kaja od Radosława czyli historia hubalowego krzyża*".

Na końcu albumu słowa:

Bogate i piękne życie, tyle w nim lekcji historii: historii i patriotyzmu, przyrody i geografii, dobroci i altruizmu. Dziękujemy, wdzięczni wychowankowie.

Każdy obraz ma swój tytuł, zdanie z mojej książki o Kai, imię i wiek malarza.

Jakże piękne jest życie książki, która wywołuje taki szczególny odbiór… Jaka radość dla pisarza… Namalowane przez dzieci obrazy – ilustracje do książki, przedstawienie, które odbyło się w

szkole na Zakroczymskiej w Warszawie, było jednym z piękniejszych moich wzruszeń, szczególnych prezentów, które jako autorka otrzymałam.

Wygląda na to, że dała Pani Kai drugie życie, że jej losy nie poszły w zapomnienie, tylko są lekcją dla nowych pokoleń. To wspaniała misja, którą Pani spełniła.

Prace plastyczne na podstawie książki Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm ”Kaja od Radosława czyli historia hubalowego krzyża”, fragmenty albumu.


Życie malowane
"szerokim światem" - szlakiem
Cezarii i Wiktorii Ilijn
Od szczytów Ałtaju po Bałtyk i Tatry
Prace plastyczne wykonane na podstawie książki:
Aleksandry Żiółkowskiej - Boehm
"Kaja od Radosława
czyli historia Hubalowego krzyża"

Zajsan u stóp Ałtaju



"Miasto Zajsan"
Edyta, lat 12

"Mieszkali na skraju miasteczka Zajsan, którego uliczki tworzyły szachownicę."

Edyta lat 12.

Zajsan u stóp Ałtaju



"Dolina nad rzeką Dżyminiejką"
Ala, lat 11

"Gdy pytam Kaję o obrazy z dzieciństwa, odpowiada mi, że wspomina je jak piękną bajkę."

Ala lat 11.

Zajsan u stóp Ałtaju



"Kwitnąta czeremcha na stepie"
Karolina, lat 12

"Nad brzegami rzeki rosły rozmaite krzewy, dzikie róże, głóg, darnina. U stóp Ałtaju rozciągał się step."

**"Z jednej strony była dolina dochodząca do stromego zbocza Ałtaju
z drugiej cerkiew tuż nad rzeką Dżyminiejką**

Karolina lat 12.



"Panorama z rzeka"
Weronika, lat 10

"Kiedyś trzyletnia Wika wybrała się sama w góry, nikt jej nie widział dokąd poszła, poszukiwania trwały wiele godzin.Dziewczynki szukało całe miasteczko, aż spotkał ją na górskiej ścieżce jakieś trzy kilometry od domu stary piastun Kirgiz, schodzący z gór.
- Co tutaj robisz? - zapytał
- Idę zobaczyć szeroki świat - odparła."

"Kaja starsza od Wiki prawie o trzy lata także robiła samodzielne wyprawy na drugą stronę rzeki, ale zawsze w grupie chłopaków. Inne dziewczynki w jej wieku nie oddalały się od domu."

Weronika lat 10.

Barnauł



"Architektura w Barnaule"
Karolina, lat 12

"W Barnaule zgłosili się do miejscowego kościoła, gdzie dzieci były chrzczone, bo rodzice chcieli zabrać ze sobą do Polski metryki chrztu..."

Karolina lat 12.

Polskie uroki

Kaszuby,
Suwalszczyzna,
Bałtyk,
Tatry



"Jeziora na Suwalszczyźnie"
Joanna, lat 13

"Kaja i Marek urządzali wycieczki piesze po Tatrach, na Suwalszczyźnie, nad Biebrzą i na Kaszubach. Kaja chadzała dużo także z siostrą Wiką i kuzynką. Odbyły wiele wypraw zarówno pieszo jak i kajakami. Dużo chodziły po ziemi kartuskiej i pływały kajakami po jeziorach kartuskich,"

"Wiele lat później Kaja uświadomiła sobie przemianę, jaka zachodziła w jej odbiorze kraju po przyjeździe z Zajsanu. Zawsze widziała wszystko w kolorach i często porównywała miejsca do obrazów malowanych przez Gauguina i van Gogha."

Joanna lat 13.

Okupacja
Powstanie Warszawskie
Obóz w Ostaszkowie



"Krzyż Virtuti Militari
majora Henryka Dobrzańskiego Hubala,
wyjęty ze skrytki w obcasie
po powrocie do wolnej Polski"

"Krzyż był ze mną pięćdziesiąt cztery lata. Był ze mną pod panterką w Powstaniu Warszawskim,
na szlaku bojowym Wola, Sterówka Czerniaków, przeprawa przez Wisłę, szpital polowy w Aninie.... ,
w czasie wędrówki do Wilna, trafił ze mną do piwnic NKWD w Białymstoku,
a potem dz obozu NKWD nr 41 w Ostaszkowie... ."



Fragment książki „Kaja od Radosława czyli historia Hubalowego krzyża" ukaże się w poniedziałek 17 września 2018 r.

Powstanie Warszawskie i niezwykłe książki Barbary Wachowicz

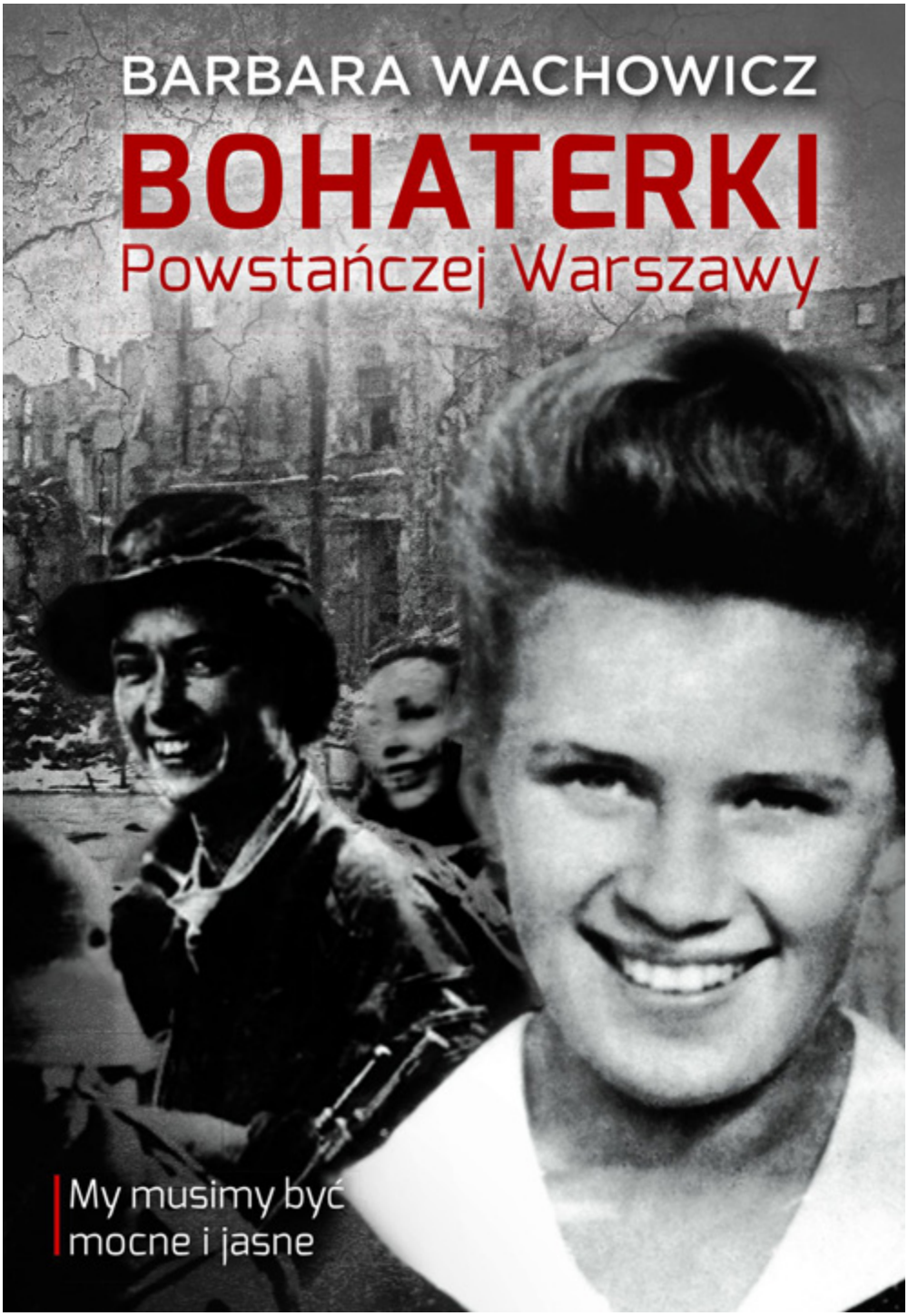

W czwartek 7 czerwca 2018 r. odeszła Barbara Wachowicz – piękny człowiek i poetka pióra. Pozostaną po niej jej książki, w których opowiadała o życiu, twórczości, miłościach i tajemnicach Mickiewicza, Słowackiego, Sienkiewicza, Żeromskiego, Kościuszki. Zajmowała się też postaciami polskiego harcerstwa. Była autorką scenariuszy filmowych i

telewizyjnych, audycji radiowych, wystaw i widowisk scenicznych.

Aleksandra Ziółkowska-Boehm

Barbara Wachowicz, autorka cyklu *Wierna rzeka harcerstwa,* raz po rW caz daje nam cenne książki o wielkich Polakach, jak *Wigilie Polskie. Adam Mickiewicz,* czy *Nazwę Cię Kościuszko! Szlakiem bitewnym Naczelnika w Ameryce*. Ostatnio po przepięknie wydanej przez Wyd. Świat Książki dwutomowej *Siedziby wielkich Polaków,* ukazała się kolejna książka Barbary Wachowicz na temat harcerzy Powstania Warszawskiego. W 2014 r. ukazał się 700 stronicowy unikatowy tom *Bohaterki Powstańczej Warszawy* (Wyd. Muza) poświęcony m.in. Krystynie Krahelskiej, Krystynie Wańkowiczównie, Dorocie Łempickiej, Barbarze Groholskiej, Alinie Janowskiej, Danucie Szaflarskiej. Czytamy:

> Było ich wiele. Wspaniałe Dziewczęta walczącej, powstańczej Warszawy – symbole największej ofiarności, poświęcenia i męstwa. Sanitariuszki, łączniczki, przewodniczki. Ratowały rannych i trwały przy nich, wiedząc, że zginą, przenosiły pod obstrzałem rozkazy i meldunki, budowały barykady, transportowały broń, otaczały opieką ludność cywilną,

> zdobywały żywność, przeprowadzały kanałami.

Spotkania z Barbarą Wachowicz są przeżyciem, które zapada mocno w serce. Jej spotkania wywołują poczucie bycia częścią pięknej wspólnoty. Jest zawsze starannie przygotowana, operująca piękną elegancką polszczyzną. Zadziwia. Wstrzymując oddech poddajemy się magii jej słów, tematów, sposobu ich podania. Mająca unikalny talent oratorski, obdarzona tytułem „Pisarki losu polskiego", dumnie i pięknie promuje przywiązanie do tradycji, do historii, wskazuje bohaterów. Jej książki są starannie udokumentowane, mają podane źródła; dla wielu cytatów są warte każdej ceny.

Najnowsza książka Barbary Wachowicz jest zatytułowana *Ułan Batalionu „Zośka". Gawęda o Janku Rodowiczu „Anodzie" (*Rytm 2015).

Porucznik Jan Rodowicz ps. „Anoda" był postacią niezwykłą: harcerz, żołnierz Szarych Szeregów i AK oraz Delegatury Sił Zbrojnych. Jego 26-letni życiorys jest bohaterski, dramatyczny, okrutny, przejmujący i bolesny. Urodził się 7 marca 1923 r. w Warszawie, zamordowany został 7 stycznia 1949 r. podczas śledztwa w siedzibie Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego na Koszykowej 6.

Był synem profesora Politechniki Warszawskiej, Kazimierza Rodowicza i Zofii z Bortnowskich, siostry generała Władysława Bortnowskiego. Uczęszczał do prywatnej Szkoły Powszechnej Towarzystwa Ziemi Mazowieckiej, wstąpił do 21. Warszawskiej Drużyny Harcerskiej. Był uczniem liceum im. S. Batorego, wiosną 1939 roku zdał tzw. małą maturę. Gdy wybucha wojna ma 16 lat.

Od października włączył się w konspirację, został członkiem Szarych Szeregów. Był już wcześniej zaprzyjaźniony m.in. z Tadeuszem Zawadzkim, Alkiem Dawidowskim, Jankiem Bytnarem. (Później zostaną jednymi z bohaterów słynnej książki Aleksandra Kamińskiego *Kamienie na szaniec.)*

Janek uczy się na tajnych kompletach gimnazjum S. Batorego i w 1941 uzyskuje maturę. Pracuje w różnych miejscach kontynuując działalność podziemną.

Barbara Wachowicz przytacza słowa matki Janka, Pani Zofii Rodowicz:

> Braliśmy czynny udział w pracach syna: przyjmowanie paczek z bronią, przenoszenie do piwnicy, kolportaż prasy. Mieszkanie było używane jako lokal konspiracyjny na spotkania, szkolenia, komplety maturalne, wykłady

> podchorążówki, skrzynie z bronią w piwnicy, schowek z aparatem radiowym i bronią w podłodze w pokoju Janka. Odbywały się całonocne ćwiczenia podchorążówki, czyszczenie i przerzucanie broni.

W 1943 r. Janek bierze udział w wielu akcjach, m.in. w słynnej akcji pod Arsenałem odbijając z rąk Gestapo Janka Bytnara ”Rudego”; dowodząc sekcją „Butelki” wywiózł z pola walki ciężko rannego Alka Dawidowskiego. I Alek, i „Rudy”, jak przypomina Autorka książki, żyli jeszcze… 4 dni. Zmarli z odniesionych ran. Za akcję pod Arsenalem Janek Rodowicz według rozkazu gen. Grota Roweckiego otrzymał Krzyż Walecznych po raz pierwszy.

W czasie Powstania Warszawskiego walczył początkowo na Woli w kompanii „Rudy” Batalionu „Zośka”, który wchodził w skład zgrupowania KG AK ppłk Jana Mazurkiewicza, ps. „Radosław”. Dziewiątego dnia po wybuchu Powstania zostaje ciężko ranny w lewe płuco, leczony jest w szpitalach na Starym Mieście: im Jana Bożego przy ul. Bonifraterskiej i kolejno w batalionowym przy ul. Miodowej.

Podczas ewakuacji Starówki wraz z grupą rannych żołnierzy Batalionu „Zośka” 31 sierpnia przechodzi kanałami do Śródmieścia-Północ. Jest ponownie w szpitalu przy ulicy Hożej, ale 8 września przerywa leczenie i dołącza do swojego oddziału

walczącego na Górnym Czerniakowie. 15 września zostaje ponownie ranny w ramię i łopatkę z potrzaskaniem kości. W drodze do szpitala zostaje trafiony odłamkami w rękę. W nocy z 17 na 18 września nieprzytomnego Janka Rodowicza ewakuują pontonem przez Wisłę na Pragę żołnierze 3. Pułku Piechoty z 1 Armii WP gen. Zygmunta Berlinga.

Leczony jest w szpitalu w Otwocku. Z bezwładem ręki będzie walczyć do końca życia. Na początku 1945 roku dostaje się do rodziny w Milanówku i nawiązuje kontakt z kolegami, którzy przeżyli Powstanie. Zostaje dowódcą oddziału dyspozycyjnego szefa Obszaru Centralnego Delegatury Sił Zbrojnych płk. J. Mazurkiewicza ps. „Radosław". Prowadzi akcje propagandowe skierowane przeciwko rządom komunistycznym, rozpoznaje urzędy bezpieczeństwa publicznego, więzienia, ochrania odprawy dowództwa Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj. W sierpniu 1945 r. po rozwiązaniu DSZ ukrywa część broni i przenosi się do rodziny do Warszawy. Wraz z innymi byłymi żołnierzami Batalionu „Zośka" zajmuje się ekshumacją i pogrzebami na Cmentarzu Powązkowskim poległych kolegów, tworzy kwatery powstańcze. Pracując w kancelarii Komisji Likwidacyjnej sporządza wraz z kolegami listy ewidencji poległych i zaginionych żołnierzy Batalionu. Zachęcał kolegów do zabezpieczenia materiałów historycznych dotyczących oddziału oraz pisania wspomnień. Był inicjatorem utworzenia „Archiwum Baonu Zośka".

Podejmuje studia na wydziale Elektrycznym Politechniki Warszawskiej, w 1947 roku przenosi się na Wydział Architektury.

…Czyżby nadszedł okres spokoju?…

***

Jak pisze Barbara Wachowicz, 24 grudnia 1948 roku matka Janka

> wzięła w dłoń opłatek, myśląc o tych, które kładą ów „boży chleb" ofiarny na pustych talerzach. Pomyślała – dzięki Bogu, ocalało mi chociaż jedno dziecko. I wtedy zaterkotał wysoko dzwonek. Myśleli, że ktoś bliski, samotny.

…A to przyszli po Janka. Aresztowano go przy stole wigilijnym.

Podczas brutalnego śledztwa w siedzibie MBP przy ul. Koszykowej zmarł 7 stycznia 1949 roku. Według prokuratury i UB przyczyną jego śmierci był skok samobójczy z okna IV piętra budynku. Jak ustalono później, najprawdopodobniej został z niego wyrzucony, lub został zamordowany w innych okolicznościach.

12 stycznia 1949 r. jego ciało zostało anonimowo pogrzebane na

Cmentarzu Powązkowskim. Rodziców powiadomiono o jego śmierci dopiero 1 marca.

16 marca powiadomiona przez grabarza, który wskazał miejsce pochówku, rodzina przeprowadziła ekshumację i trumnę z Jankiem Rodowiczem „Anodą" umieszczono w rodzinnym grobie na Starych Powązkach. Jego symboliczny grób znajduje się także w kwaterze „Na Łączce" Cmentarza Wojskowego w Warszawie (pomordowanych przez organy bezpieczeństwa publicznego w latach 1945-1956).

W czasie przekładania zwłok do trumny, jak później poinformowano matkę, nie stwierdzono oznak połamanych nóg, wylewów, uszkodzeń twarzy i rąk. Dostrzeżono za uchem otworek z zakrzepłą krwią… według lekarza – to był strzał w tył głowy.

To nie było samobójstwo – to było zabójstwo. Oprawcy nie ponieśli żadnej kary.

Co z innymi?… Np. przywoływany wcześniej "Radosław", ppłk. Jan Mazurkiewicz, został aresztowany 4 lutego 1949 roku. Przywołuję Autorkę książki: „Katowano go w śledztwie, wybito zęby. Pięć lat leżał na betonie, mając kilka garści zgniłej słomy. W listopadzie 1953 roku skazany został na dożywotnie więzienie". Na wolność wyszedł w wyniku amnestii w 1956 roku,

rok później został zrehabilitowany.

Barbara Wachowicz cytuje wstrząsający dokument – (odnaleziony w papierach Bieruta) sporządzony 2 czerwca 1947 r. w Moskwie. Pokazuje, jak zaplanowano zniszczenie ludzi autorytetu i zaufania, kultury, nauki, gospodarki.

Kilka fragmentów:

> 10. Do wszystkich organów władzy i większości zakładów wprowadzić ludzi współpracujących z naszymi służbami specjalnymi (bez wiedzy władz krajowych).

> 34. Szczególnej obserwacji poddać Kościół i tak ukierunkować działalność oświatowo-wychowawczą, aby wzbudzić powszechny wstręt do tej instytucji. Objąć baczną uwagą i kontrolą kościelne drukarnie, biblioteki, archiwa, kazania, kolędowania, treści nauk religijnych oraz obrzędy pogrzebowe.

> 35. W szkolnictwie podstawowym, zawodowym, a w

szczególności w szkołach średnich i wyższych doprowadzić do usunięcia nauczycieli cieszących się powszechnym autorytetem i uznaniem. Na ich miejsce wprowadzić ludzi mianowanych (...)

39. Zadbać o budowę i rozbudowę mostów, dróg i licznych połączeń, aby w razie konieczności interwencji wojskowej można było szybko i z każdej strony dotrzeć do punktu oporu lub koncentracji sił opozycji (...).

40. Pilnować, aby aresztować przeciwników politycznych. Rozpracować przeciwników z autorytetem wśród krajowców. Likwidować w drodze tzw. zajść sytuacyjnych przypadkowych, zanim staną się głośnymi, lub aresztować ich wcześniej za wykroczenia kryminalne.

41. Nie dopuszczać do rehabilitacji osób skazanych w procesach politycznych. W razie konieczności rehabilitacji, można ją przeprowadzić tylko pod warunkiem, że sprawa będzie uznana za pomyłkę sądową,

> bez wszczynania dochodzenia i stawiania przed sądem winnych pomyłki (sędziów, świadków, oskarżycieli, informatorów).

***

Janek Rodowicz marzył o udziale w odbudowie zniszczonej Warszawy. Byłby zapewne znakomitym architektem. Tablica upamiętniająca Rodowicza znajduje się w gmachu Wydziału Architektury Politechniki Warszawskiej oraz przy Ministerstwie Sprawiedliwości.

Jest patronem warszawskich Drużyn Harcerskich „Czata” i „Las”, szczepu hufca Poznań „Wilda”. Jego imieniem są nazwane ulice na warszawskim Ursynowie i na osiedlu Teofilów w Łodzi. Od 2011 roku Muzeum Powstania Warszawskiego ustanowiło nagrodę im. Jana Rodowicza „Anody”. W 1981 roku o „Anodzie” mówiła w I programie Polskiego Radia Barbara Wachowicz z Andrzejem Matulem. Powstały filmy dokumentalne: *Dlaczego*, (1990). *Ułan Batalionu Zośka. Jan Rodowicz Anoda* (1994), spektakl telewizyjny *Pseudonim Anoda* (2007).

W 1991 roku Barbara Wachowicz zorganizowała wystawę *„Kamyk na szańcu – opowieść o Druhu Aleksandrze Kamińskim i*

Jego Bohaterach – Harcerzach Szarych Szeregów”, której duża sekwencja poświęcona jest „Anodzie”. Wśród pokazanych pamiątek jest modlitewnik Janka z dedykacją Matki, własnoręcznie wypełniona ankieta wyliczająca akcje bojowe i rany, pismo z Urzędu Bezpieczeństwa, akt zgonu, indeksy i legitymacje studenckie. Także opaska powstańcza. Wystawa prezentowana w wielu miastach, w całej niemal Polsce, cieszy się ogromnym zainteresowaniem. W Warszawie od maja do sierpnia 2002 odwiedziło ją 64 tysiące ludzi.

W archiwum „Anody” zachowała się „Modlitwa” przepisana jego ręką, zacytowana w książce Barbary Wachowicz. Jej początek:

> Panie Boże Wszechmogący, Daj nam siły i moc wytrwania w walce o Polskę, której poświęcamy całe nasze życie.

Barbara Wachowicz: Bohaterki Powstańczej Warszawy, wyd. Muza, 2014 r.

Tekst ukazał się [w:] Nowy Dziennik, Przegląd Polski, Nowy Jork, 8 października 2015 r.

Artykuł Barbary Wachowicz o Melchiorze Wańkowiczu i Aleksandrze Ziółkowskiej-Boehm:

http://www.cultureave.com/ziele-nie-szarzeje/

Ostatni lotnik

W rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego opowieść Bryana Desmonda Jonesa – ostatniego lotnika 31 dywizjonu lotnictwa Południowej Afryki, zmarłego w tym roku w Johannesburgu, który w sierpniu 1944 roku niósł pomoc dla walczącej Warszawy.



Bryan Desmond Jones w 1944 roku.

Barbara M. J. Kukulska

Bryan Desmond Jones urodził się 29 kwietnia 1923 roku w Północnym KwaZulu – Natal w Południowej Afryce, zmarł w Johannesburgu 16 lutego 2017 roku.

Miał 21 lat, kiedy przeżył dramatyczne chwile ostrzelania jego samolotu przez Niemców. W tych ułamkach minut, kiedy ważyło się jego życie, podjął decyzję: „Jeśli wyjdę z tego żywy poświęcę

swoje życie Bogu!”

Dotrzymał obietnicy, został pastorem.

W czasie II wojny światowej podczas Powstania Warszawskiego należał do 31 dywizjonu lotnictwa Południowej Afryki. Był w stopniu porucznika, nawigator oraz bombardier. Jego zadaniem było ustawienie kursu, naprowadzenie samolotu na cel oraz zrzucenie ładunku.

Wstąpił do lotnictwa w wieku 17 lat, skończył szkołę i na początku 1942 roku rozpoczął pracę. W czasie wojny jego dywizjon stacjonował w rejonie pustyni egipskiej i stamtąd prowadzili ataki na Kretę – port i stocznie Heraklion. Później przenieśli się w okolice Ciolloni Foggia we Włoszech, gdzie prowadzili akcje w nocy, a ich głównym celem były silnie bronione pola naftowe. Atakowali też inne duże miasta takie jak Bukareszt, gdzie były zbiorniki z ropą naftową, rafinerie, Budapeszt i inne lotniska na Węgrzech.



Na szczycie piramidy w Egipcie w 1944 r. Bryan Jones pierwszy z prawej.

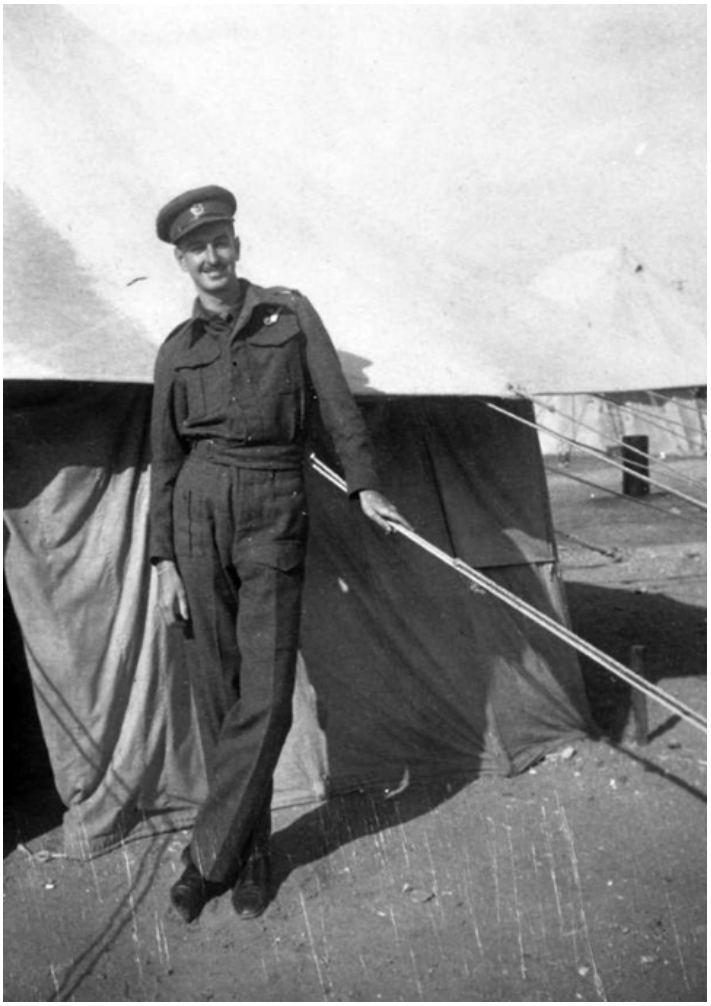

Bryan Jones na Bliskim Wschodzie, styczeń 1944 r,

Oprócz tego, raz w miesiącu wykonywali zadanie, jakim było zrzucanie magnetycznych min na Dunaju, które hamowały przepływ barek przewożących ropę naftową z Rumunii do Niemiec.

Akcja nad Warszawą była w nocy, księżyc świecił wtedy bardzo jasno. Lotnicy znaleźli wyznaczony obszar i zniżyli się na wysokość 30 stóp nad rzeką Wisłą. Komory bombowe były otwarte i wszystko było gotowe do zrzucenia min, ale…

Relacjonuje Bryan Jones:

> W momencie, gdy miałem nacisnąć spust uwalniający bomby, zauważyłem, że zaraz pod nami był inny samolot, tego samego kształtu jak nasz. Krzyknąłem do pilota: „Kapitanie, pod nami jest inny samolot. Nie możemy teraz zrzucić bomb". On odpowiedział: „W porządku" i zatoczyliśmy koło, by tam za chwilę wrócić.

Okazało się, że ten samolot poniżej, to… było odbicie w wodzie ich samolotu. Niemcy to wykorzystali i byli gotowi do ataku z brzegu rzeki. Nikogo z załogi nie trafili, ale samolot był posiekany od kul.

Bryan Jones nie znał Europy, ani sytuacji w jakiej się znalazła na skutek działań wojennych. Ten lot, był pierwszym nad Polską, o której nic nie wiedział. Dla nich, wówczas młodych chłopców, była to przygoda. Nikt z nich nie zdawał sobie sprawy, że może zostać zraniony, czy nawet zabity.

W sierpniu 1944 roku stacjonowali na lotnisku Ciolloni, obok Foggi, na wschodnim wybrzeżu Włoch.

W niedzielę 13 sierpnia została wywieszona czerwona flaga na kwaterze sztabowej.

Okazało się, że porucznik Dirk Nell wyznaczył 10 załóg na specjalną odprawę i znaleźliśmy też swoje nazwiska na liście. Pobiegliśmy więc do namiotów, zabraliśmy nasze rzeczy i wsiedliśmy do samolotów. Wszyscy byliśmy podekscytowani bo myśleliśmy, że mamy zaatakować południe Francji w czołowym natarciu.

Już to wcześniej robiliśmy i wiedzieliśmy, że to dla nas bułka z masłem, bo było to łatwe, więc byliśmy podekscytowani. Gdy czekaliśmy w kolejce by wystartować, podbiegł do nas Anglik ze spadochronem w ręku, był artylerzystą, i mówi: 'Czy mogę lecieć z wami?' Nasz pilot odpowiada: „Zapytaj porucznika", więc on odszedł, ale nie wiem czy w ogóle poszedł do porucznika, możliwe, że po prostu obszedł samolot dookoła i wrócił z drugiej strony. Mówi: „Porucznik się zgodził" więc powiedzieliśmy: „Wskakuj!" Myślał, że wybiera się na krótką wyprawę, a zajęło mu to cały rok zanim wrócił.

Wylądowaliśmy w Brindisi i poszliśmy do pokoju sali konferencyjnej RAF-u. Tam w poprzek sali wisiała mapa Europy i zszokował nas widok czarnej taśmy, jaką zaznaczano trasę, biegnącą wzdłuż Adriatyku, Albanii, do Rumunii, przez Węgry, Czechosłowację, nad Karpatami, aż do Warszawy. Pomyśleliśmy: „Wow! Kto jest na tyle szalony,

żeby tam lecieć?” Byliśmy już wtedy zaprawieni w bitwach, wykonaliśmy 12 lub 13 lotów do tego czasu i wiedzieliśmy, że nikt nie jest na tyle głupi, żeby się porywać na wykonanie tak niebezpiecznego zadania – lotu do Warszawy.

Rozpoczęła się odprawa. Dowódca skrzydła RAF-u wstał i powiedział zwyczajnie: „Panowie, celem waszym dziś jest Warszawa”. W tym momencie wszyscy westchnęli, nie mogliśmy w to uwierzyć. Gdy doszliśmy do siebie, dowódca powiedział: „Co więcej, będziecie dostarczać zrzuty dokładnie na teren Warszawy, więc będziecie musieli lecieć na wysokości dachów, żeby zrzucić zaopatrzenie prawie na dokładny adres ulicy”. Nie mogliśmy w to uwierzyć, ale taka była prawda.

Następnie poinformował nas, że w Warszawie jest powstanie. Nie powiedział nam, jaka jest sytuacja polityczna, ani, że Rosjanie podeszli pod Wisłę, ale odmówili pomocy. Nie powiedział nam też o wątpliwościach naszego przełożonego porucznika brygadiera Durrenta, ani, że Churchill wydał taki rozkaz. Ledwo wiedzieliśmy, gdzie Polska leży, ale kazano nam lecieć. Właśnie do takich zadań zgłosiliśmy się na ochotnika, gdy zapisywaliśmy się do lotnictwa, więc polecieliśmy.



Załoga SAAF B-24 Liberator EW105, siedzący pierwszy z prawej Bryan Jones, nawigator i celownik bombowy.

Bryan Jones brał udział tylko w jednym locie nad Warszawą w dniu 13 sierpnia 1944 roku. Leciał Liberatorem, produkcji amerykańskiej B-24, którym wystartowali z bazy o godz. 18:30, mieli zrzucić zapasy, których pilnie potrzebowano w walczącej Warszawie. Była to broń, amunicja, środki opatrunkowe i lekarstwa.

W czasie odprawy przyszedł specjalista od meteorologii i powiedział, że pogoda nie jest najlepsza. Ale to było mało powiedziane, pogoda była przerażająca. Chciałbym wspomnieć o jeszcze jednej rzeczy: pod koniec odprawy dowódca skrzydła zaprosił polskiego dowódcę dywizjonu kpt. Szostaka, by wygłosił mowę. On powstał i w bardzo emocjonalnym tonie powiedział: „Mój kraj, Polska, ma poważne kłopoty. Proszę was – obywateli Wielkiej Brytanii i RPA – o pomoc dla Polski".

Dla nas, młodych ludzi, brzmiało to bardzo poważnie, i naprawdę poruszyło nasze emocje. Ale to oświadczenie to był dopiero początek, a z pewnością w moim przypadku, ogromnego podziwu dla Polski i Polaków.

Pogoda była straszna!

Lecieliśmy zataczając się z pełnym zbiornikiem, ciężkimi zapasami i nas siedmiu mężczyzn na pokładzie. W końcu dolecieliśmy nad Karpaty, jakoś przedarliśmy się przez nie.

Niebezpieczeństwem były oblodzone skrzydła, a raczej ich krawędzie, które ciągnęły samolot w dół. Gdy przelecieliśmy nad Karpatami zniżyliśmy się i przed sobą zobaczyliśmy ponury blask, i zorientowaliśmy się, że to płonąca Warszawa.

> Muszę tu zaznaczyć, że jako nawigator byłem z siebie zadowolony bo lecieliśmy na ślepo w chmurach, a jak się wyłoniliśmy, byliśmy na właściwym kursie, a tam był nasz cel.

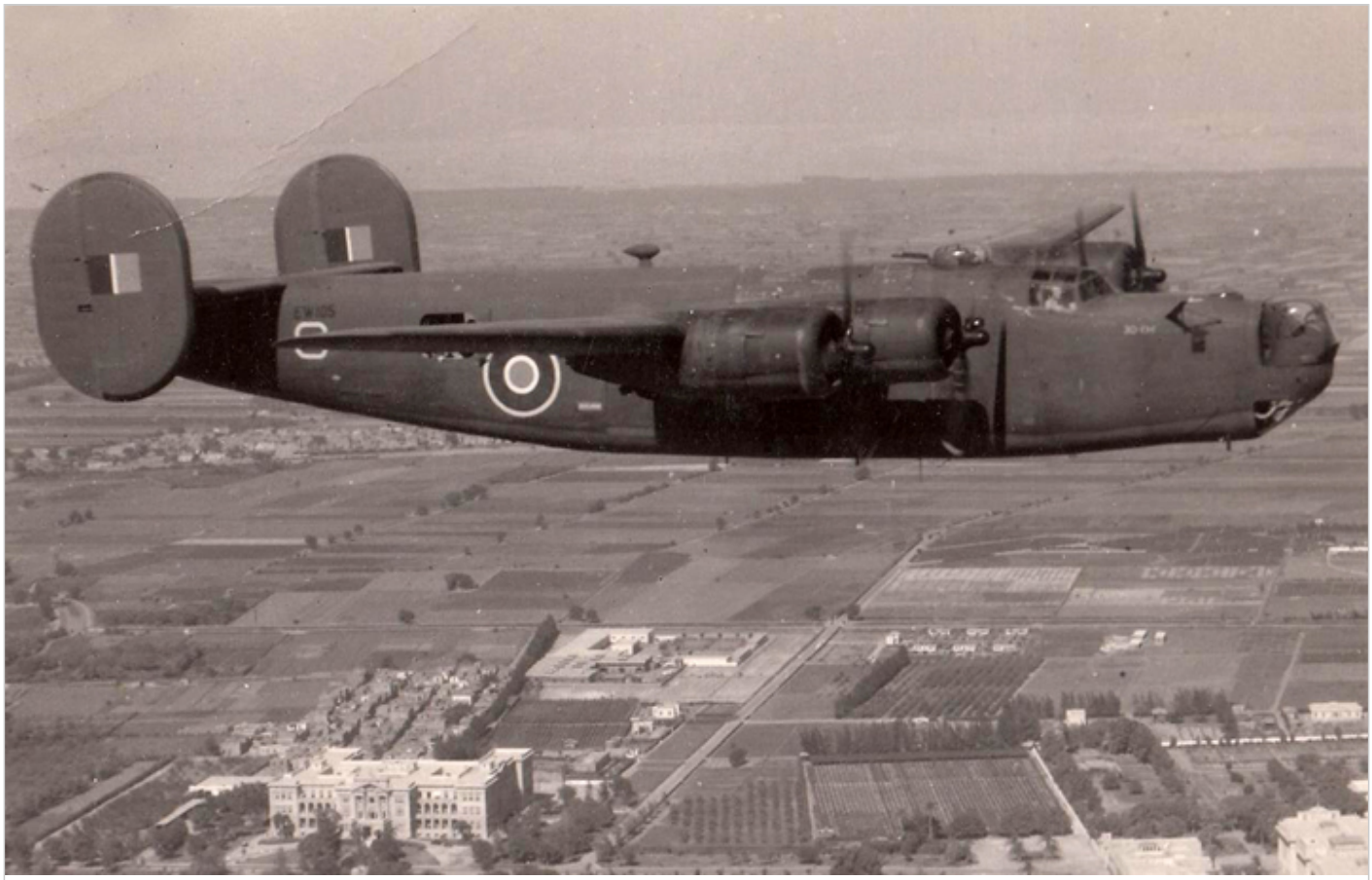

Liberator EW105 z 31 dywizjonu został zestrzelony nad Warszawą w nocy 13/14 sierpnia 1944 r.

Lecieli nad Karpatami. Mieli ostrzeżenie, że muszą uważać, bo są tam samoloty myśliwskie. Warszawa widoczna była z daleka, gdyż nad miastem unosiły się płomienie i dymy. Kiedy znajdowali się nad Wisłą zostali zaatakowani i stracili jeden silnik.

Pomimo tego pragnęli wykonać zadanie zrzutu nad wyznaczonym miejscem, którym były okolice Starego Miasta. Wypatrywali punktu, gdzie ktoś miał dawać sygnały lampkami. W płomieniach, dymie i ostrzeliwaniu nie było nic widać. Wykonali obliczenia i ustawili kurs zgodnie ze szczegółowymi mapami.

Byli oświetlani reflektorami, ostrzeliwani i słychać było huk uderzających pocisków w samoloty. Rzeka zakręcała, a przed nimi widać jakby wystrzeliwały fajerwerki. Pomimo tego kierowali się do wyznaczonego celu. Lecieli z otwartymi komorami bombowymi na wysokości 120 do 150 metrów nad ziemią z prędkością zaledwie 135 mil (taki mieli rozkaz).

> Wcześniej powiedziałem, że byłem bardzo religijnym człowiekiem, wierzyłem wtedy, że Bóg istnieje i że jestem w jego rękach.
>
> Miałem świadomość, że nie jestem sam w samolocie, byli tam nie tylko moi koledzy, ale był też Bóg.
>
> Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego inni zginęli, a ja nie. Ale, dla przykładu podam taką sytuację: leżę tam na podłodze, czytając mapę i instruując pilota „w lewo, w lewo, w prawo” i nagle słyszę jak ktoś do mnie mówi: „Hej, Jones, załóż hełm”,

Wszyscy mieliśmy obowiązek nosić stalowe hełmy, ale nigdy ich nie nosiliśmy, gdyż są ogromne i głowa się w nich obija. Zawsze je zdejmowaliśmy i rzucaliśmy na podłogę. Ale wtedy ktoś powiedział: „Hej, Jones, załóż hełm”. Wyciągnąłem więc po niego rękę, wciąż patrząc przed siebie, i założyłem go na głowę.

Nie chcę kreować wrażenia, że się nie bałem, gdyż bałem się. Ale byłem tak pochłonięty obliczeniami, robieniem zdjęć i czytaniem mapy, że nie pamiętam strachu. Pamiętam tylko, jak pociski uderzały w samolot, i artylerzystę krzyczącego z tyłu: „Kapitanie, dostałem w ramię, nie mogę kierować działem”. Zawołaliśmy tego Brytyjczyka, którego zabraliśmy ze sobą i powiedzieliśmy, żeby zabrał stamtąd rannego i zajął jego miejsce. Tyle pamiętam. Ale proszę nie myśleć, że byłem taki odważny, serce mi waliło, tylko po prostu byłem zbyt zajęty – i to mnie uratowało.

W momencie, kiedy dokonaliśmy zrzutu, poczuliśmy jak samolot poderwało do góry. Zamknęliśmy komorę bombową, zwiększyliśmy prędkość i lecieliśmy do domu. Podałem kurs pilotowi, który obliczyłem już wcześniej, więc kapitan go ustawił i próbowaliśmy wrócić do Włoch. W tym momencie odstrzelono nam drugi silnik. Zostały jeszcze dwa.

Nagle, w samolocie zapanowała ciemność. Okazało się, że

> cała hydraulika samolotu też została odstrzelona, nie mieliśmy światła. Ale wciąż próbowaliśmy wrócić do Włoch. Nie było mowy o tym, żeby postawić przednie koło i lądować. Nie, wracaliśmy do domu. Ale wewnątrz samolotu wszystko chrobotało, słychać było hałas ścierania, i samolot wylądował na lotnisku w Warszawie.

Wywiad z Bryanem Desmondem Jonesem o zestrzeleniu jego samolotu nad Warszawą podczas przygotowywania zrzutu dla walczących Powstańców:

Samolot wylądował prosto, ale zarył się w ziemię, silnik ucichł. Bryan Jones stracił na chwilę przytomność, ale nałożony hełm uratowal mu życie. Niemcy na lotnisku zapalili reflektory i zaczęli ich ostrzeliwać.

> Bałem się. Leżeliśmy tam, a oni cały czas nisko strzelali. Pamiętam wyraźnie, jak pomyślałem: Jest niedziela wieczór, moi rodzice są teraz pewnie w kościele w Derbin, i modlą się „Prosimy, opiekuj się naszym chłopcem".
>
> Zawarłem wtedy układ z Bogiem – co za tupet! – powiedziałem: „Panie, boję się. Jeśli zabierzesz mnie z powrotem do Południowej Afryki do mamy – to wstąpię do kościoła i zostanę pastorem. Proszę cię, Panie".

> Jest to zupełnie inne doświadczenie dla lotnika być schwytanym, niż dla żołnierza, ponieważ jest się przyzwyczajonym do latania i bycia wolnym, a tu nagle nie tylko znajduję się na obcej ziemi, ale też nie jestem w ogóle przyzwyczajony do bycia na ziemi. I pamiętam, że w duchu, jak mały chłopiec, przerażony wołałem: „Mamo, patrz co oni mi robią".
>
> Dokładnie tak, jak wołałem, gdy byłem małym chłopcem w szortach. Ale moja mama była daleko, mój dywizjon był we Włoszech, a ja byłem sam.

Zostali zaaresztowani i osadzeni w więzieniu. Bryan Jones przeżył koszmar przesłuchań, złego traktowania, przewożenia pod eskortą z jednego obozu jenieckiego do drugiego.

Po wyzwoleniu Polski, wrócił do Południowej Afryki i po wielu latach dotrzymał przyrzeczenia. Został pastorem.

> Los był dla mnie łaskawy, nie chcę powiedzieć, że miałem szczęście, bo w to nie wierzę.
>
> Bóg ma plan dla każdego z nas, a jego plan dla mnie, był taki, że miałem przejść przez to piekło w Warszawie – Gestapo i reszta. Miał dla mnie taki plan i chciał, żebym go

posłuchał.

I gdy teraz patrzę z perspektywy na to, jak to wszystko się skończyło, myślę, że to było cudowne. Nie miałem z tego pieniędzy, ale mogłem pomagać ludziom w kościele, wykorzystać do tego swoje doświadczenia.

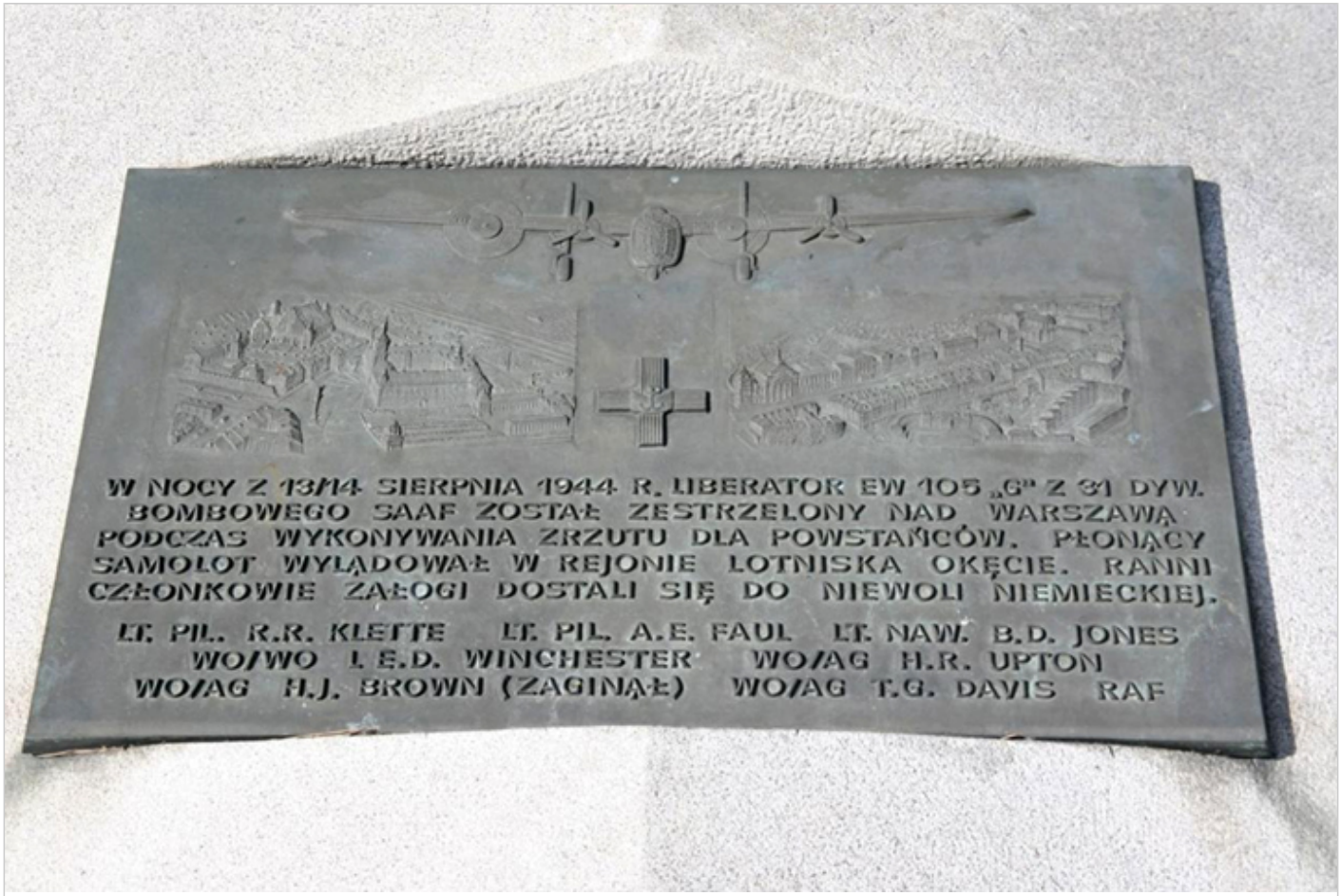

Tablica na lotnisku im. F. Chopina w Warszawie upamiętniająca zestrzelenie samolotu, którym leciał Bryna Jones nad powstańczą Warszawą w 1944 r., fot. Hubert Kuberski.

Źródło:

www.biltongbru.wixsite.com/ww2-saaf-heritage

http://www.1944.pl/archiwum-historii-mowionej/bryan-desmond-jones,1949.html

Artykuł ukazał się w „Wiadomościach Polonijnych” w Johannesburgu, RPA, nr 637.